

LUIS SEPULVEDA

Ziemia Ognista

rantazgo Beagle

i

EXPRESS PATAGONIA

Zapiski z podróży

Przełożył Adam Elbanowski

NOIR SUR BLANC

Zapiski o tych zapiskach

Projekt okładki: Tomasz Lec Tytuł oryginału: Patagonia Express Copyright

© Luis Sepulveda, 1995

For the Polish edition Copyright © 2003, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 83-7392-028-5

W meksykańskim domu Mari Carmen i Paca Ignacia Taiby I jest wielki stół, przy którym zasiada dwudziestu czterech biesiadników. Tam właśnie usłyszałem pewnego razu zdanie, które posłużyło za tytuł jednej z książek Taiby I: Aby wstrzymać wody zapomnienia. Kiedy później przeczytałem tę książkę, nie tylko poczułem jeszcze większą sympatię i podziw dla tego asturyjskiego pisarza, ale zrozumiałem też, że nie można unikać rozstania z pewnymi tekstami, choćby ogromnie się je lubiło i traktowało jako istotną część samego siebie.

Teraz rozstaję się z tymi zapiskami, które towarzyszyły mi w długiej podróży i zawsze były ze mną, aby przypominać mi, że nigdy nie miałem prawa twierdzić, iż czuję się samotny, przygnębiony — niczym flaga opuszczona do połowy masztu.

Zapiski te powstały w różnych miejscach i okolicznościach. Nigdy nie

wiedziałem, jak je nazwać, i nadal nie wiem.

Pewnego razu ktoś powiedział mi, że z pewnością przechowuję w szufladzie mnóstwo tekstów. Byłem tym tak zaskoczony, że poprosiłem o wyjaśnienie.

— No, teksty z szuflady, zapiski, które robi się nie wiadomo po co i na co — wytłumaczył ten ktoś.

Nie. To nie są teksty z żadnej szuflady, bo to zakładałoby istnienie szuflady, która z reguły stanowi część biurka, a ja nie mam biurka. Nie mam i nie zamierzam mieć, jako że piszę na grubej desce, odziedziczonej po starym piekarzu z Hamburga.

Pewnego wieczoru, podczas partyjki skata, popularnej w północnych Niemczech gry w karty, stary piekarz oświadczył swoim karcianym kompanom, że artretyzm zmusza go do poddania się i zamknięcia piekarni.

— I co będziesz robił, stary sknero? — zapytał go pewien sympatyczny gracz.

— Zważywszy, że żaden z moich synów nie chce pójść w moje ślady, a moje maszyny uznano za szmelc, pošlę to wszystko do diabła i rozdám to, co wciąż jeszcze promieniuje życzliwością — odpowiedział stary Jan Keller, a następnie zaprosił nas na wielkie pijaństwo w piekarni.

I tak dostałem grubą deskę, na której on przez pięćdziesiąt lat wyrabiał ciasto, a teraz ja wyrabiam moje opowieści. Kocham tę deskę, pachnącą drożdżami, sezamem, imbirem i najszacowniejszym spośród wszystkich zawodów. Po cóż zatem, do licha, miałbym pokochać jakieś biurko?

Te zapiski, których nie potrafię nazwać, przeleżały się w odległych zakamarkach półek, pokryły kurzem i tylko czasem, gdy szukałem starych

zdjęć albo dokumentów, natykałem się na nie i muszę wyznać, że czytałem je wtedy z mieszaniną czułości i dumy, bo te nabazgrane albo niechlujnie przepisane na maszynie stronicie zawierały w sobie próbę zrozumienia dwóch ważnych problemów, które tak trafnie określił Julio Cortazar: zrozumienie sensu kondycji ludzkiej i zrozumienie sensu kondycji artysty. Z pewnością wiele jest tam moich osobistych doświadczeń, ale nie należy doszukiwać się w tym zaklinalnia choroby Alzheimera, bo bynajmniej nie zamierzam pisać wspomnień.

Żegnam się zatem z tymi zapiskami; niektóre z nich opuściły swe kryjówki i zostały wydane w antologiach, pismach, a ostatnio w pewnej nazbyt subiektywnej publikacji we Włoszech.

W końcu zostały zebrane w książce, którą teraz Ty — Czytelniku, Czytelniczko — trzymasz w ręku, a stało się to za sprawą mądrych i życzliwych rad Beatriz de Moura. Zatytułowałem tę książkę Express Patagonia w hołdzie dla kolei, która wprawdzie już nie istnieje — w dzisiejszych czasach poezja uważana jest za mało dochodową — ale nadal kursuje w pamięci mężczyzn i kobiet z Patagonii.

Zapraszam Państwa do wspólnej podróży, bez ustalonej trasy, wraz z tymi wszystkimi wspaniałymi ludźmi, którzy występują tu pod własnym nazwiskiem i od których nauczyłem się tak wiele i wciąż jeszcze się uczę.

Lanzarote, Wyspy Kanaryjskie sierpień 1995

## CZEŚĆ PIERWSZA

Zapiski z podróży donikąd

Bilet donikąd był prezentem od dziadka.

Mój dziadek. Osobliwa i przerażająca istota. Wydaje mi się, że dostałem od niego ten bilet, gdy skończyłem jedenaście lat.

Pewnego letniego poranka spacerowaliśmy po Santiago. Staruszek postawił mi sześć napojów i drugie tyle lodów, które zdążyły się już rozpuścić w moim żołądku, a ja wiedziałem, że on czeka tylko, aż wyrażę chęć siusiania. Może naprawdę troszczył się o moje nerki, skoro pytał mnie:

— No i co? Nie chcesz siusiać? O kurwa, mój chłopcze, po tym wszystkim, co wypieś...

Moja naturalna i zwyczajowa odpowiedź musiała zabrzmieć dramatycznie potakująco, tym bardziej że towarzyszyło jej nerwowe zaciskanie kolan. Wtedy on wypluwał niedopałek papierosa, wiecznie przyklejony do warg, i zaczerpnąwszy głęboko powietrza, odzywał się wysoce dydaktycznym tonem:

— Poczekaj jeszcze chwileczkę, chłopcze. Poczekaj i wytrzymaj, aż znajdziemy odpowiedni kościół.

Ale tego ranka byłem zdecydowany zrobić w spodnie, a nie wysłuchiwać kolejny raz wyzwisk jakiegoś księdza. Zabawę polegającą na wypełnianiu mojego żołądka lodami i napojami, co miało zmusić mnie do siusiania w przedsionkach kościołów, powtarzaliśmy od momentu, gdy nauczyłem się chodzić i staruszek uczynił mnie kompanem swych wypadów, małym współnikiem dywersyjnych wyczynów emerytowanego anarchisty.

15

Ileż przedsionków obsusiałem. Iluż księży i bogobożnych parafian obrzucało mnie wyzwiskami.

— Ty mała świnko! Nie masz w domu ubikacji?! — były to najłagodniejsze wyrażenia, jakich wysłuchiwałem.

— Jak śmiesz ubliżać mojemu wnukowi, człowiekowi wolnemu!

Pasożycie! Kloako! Oprawco świadomości społecznej! — odkrzykiwał mój dziadek, gdy ja tymczasem opróżniałem się do ostatniej kropli, przyrzekając sobie, że następnej niedzieli odmówię wypicia jakiegokolwiek Papai, Bilza czy Orange Crush, napojów, które oferował mi szczególnie hojnie.

Tego poranka postanowiłem być nieustępliwy.

— Tak. Chce mi się siusiu, dziadku. Ale chcę do ubikacji.

Staruszek przygryzł niedopałek, po czym wypluł go. Wymamrotał „sramnato”, odszedł kilka kroków, ale zaraz wrócił i pogłaskał mnie po głowie.

— Czy to z powodu ubiegłej niedzieli? — upewnił się, wyciągając z kieszeni kolejnego papierosa.

— No tak, dziadziusiu. Ten ksiądz chciał cię zabić.

— Rzecz w tym, mój chłopcze, że te skurwysyny są niebezpieczne. No, ale skoro natura tak chce, przejdziemy do bardziej skutecznych działań. Poprzedniej niedzieli opróżniłem się, zalewając wiekowe wrota kościoła Świętego Marka. Nie pierwszy już raz te sędziwe belki służyły mi za pisuar, ale tym razem ksiądz musiał coś przeczuwać, bo dopadł mnie podczas apogeum siusiania, kiedy to niemożliwe jest wstrzymanie strumienia, i złapawszy mnie za ramię, obrócił w stronę dziadka, po czym, wskazując proroczym palcem na mój tryskający siusiak, zaryczał:

— Od razu widać, że to pański wnuk! Świadczy o tym mizerne przyrodzenie!

Udana niedziela. Dokończyłem siusiania na stopniach kościoła, patrząc z przerażeniem, jak dziadek ciska marynarkę i podwija rękawy koszuli, wyzywając księdza na pojedynek na pięści, który szczęśliwie nie doszedł

do skutku dzięki ministrantom i świątobliwym parafianom, bo ksiądz przyjął już wyzwanie, podkasując sutannę. Udana niedziela.

Kiedy tylko ulżyłem sobie w statecznym przybytku jednego z barów, staruszek postanowił, że najlepszym sposobem dopełnienia tego poranka będzie wizyta w ośrodku asturyjskim, gdzie w niedzielę fetują zwykle uchodźców republikańskich fabadą i serami cabrales.

Dla mnie cabrales były odrażającą i cuchnącą masą, przysmakiem tylko dla staruszków w beretach, którzy dzień w dzień, podchodząc pod dom moich dziadków, zadawali niezmiennie to samo pytanie:

— I co? Szezła ta cholera?

W trakcie celebrowania ryżu z mlekiem zastanawiałem się, co też miał na myśli staruszek, mówiąc o „bardziej skutecznych działaniach”, i chyba aż zadrzałem, odgadując eschatologiczny wydźwięk tego zwrotu, ale moje obawy wnet rozwiały się, gdy zobaczyłem, jak wchodzi w towarzystwie innych biesiadników do wielkiej sali, udekorowanej czerwono-czarnymi flagami Narodowej Konfederacji Pracy. W sali tej przechowywane były książki Juliusza Verne'a, Emilia Salgariego, Stevensona i Fenimore'a Coopera, które wieczorami czytywała mi babcia.

Zobaczyłem, jak dziadek wychodzi z niewielką książką w ręku. Odwołał mnie na bok i słuchając go, zdołałem odczytać na grzbiecie książki:

Mikołaj Ostrowski Jak hartowała się stal.

— No dobrze, chłopcze. Tę książkę musisz przeczytać samodzielnie, ale zanim ci ją dam, obiecasz mi dwie rzeczy.

— Słucham cię, dziadziusiu.

— Ta książka jest zaproszeniem do dalekiej podróży. Obiecaj mi, że

odbędziesz tę podróż.

— Obiecuję. Ale dokąd mam jechać, dziadziusiu?

— Możliwe, że donikąd, ale zapewniam cię, że warto.

— A ta druga obietnica?

— Że pewnego dnia pojedziesz do Martos.

— Martos? Gdzie to jest?

— Tu — odpowiedział, kładąc rękę na sercu.

i

„Droga ma dwa krańce, a na każdym ktoś mnie czeka” — mówią słowa znanej chilijskiej piosenki. Wkurzające jest to,

17

że oba te krańce nie wytyczają prostej drogi, lecz rubieże pełne zakrętów, wertepów, wybojów i odgałęzień, niezmiennie wiodących donikąd.

Lektura Jak hartowała się stal, niewątpliwie mozolna i wymagająca zadawania nieustannych pytań, zawiodła mnie po raz pierwszy do krainy, gdzie marzenia zwać się nigdzie. Jak wszyscy chłopcy, którzy przeczytali powieść Ostrowskiego, ja także pragnąłem być Pawłem Korczaginem, nieugiętym bohaterem, komsomolcem, który nawet kosztem własnego życia nie szczędzi poświęceń, aby wypełnić swą misję młodego proletariusza. Śniłem, że jestem Pawłem Korczaginem, i aby sen ten ziścił się naprawdę, wstąpiłem do Młodzieżówki Komunistycznej.

Dziadek niechętnie pogodził się z niedzielną utratą wnuka i kilka miesięcy pomstował na hiszpańskiego tłumacza Jak hartowała się stal. Lektura powieści miała przecież skierować mnie na ścieżki anarchistycznych idei, pierwszego etapu podróży donikąd, ale gniew dziadka ustał w dniu, w

którym oznajmiłem mu, że my, studenci, ogłosiliśmy strajk na znak solidarności z górnikami. Raz tylko byłem świadkiem, kiedy wypił ponad miarę, a był to właśnie dzień strajku. Odurzony winem, z trudem powstrzymywał łzy, mruczając pod nosem:

— Mój wnuk bierze udział w strajku, kurwa mać, to moja krew.

Mój dziadek. Pamiętam, kiedy pierwszy raz zmusiłem go do przeczytania „Gente Joyen”, pisma młodych komunistów. Przeczytał uważnie wszystkie cztery strony i stwierdził, że chociaż to publikacja bandy akolitów stalinowskiej władzy, to jednak jest pierwszym krokiem na drodze do zrozumienia prawdziwego porządku.

— Nie tego, który narzuca państwo, taka jego mać, ale porządku naturalnego, płynącego z braterstwa między ludźmi.

To, że byłem młodym komunistą, napełniało radością moich rodziców, ponieważ młody komunistą musiał być prymusem w szkole, najlepszym sportowcem, młodzieńcem znakomicie wykształconym i wychowanym, a w domu po prostu spiżowym pomnikiem odpowiedzialności i pracowitości. W każdym młodym komuniście kiełkowała jednostka kolektywna i uspołeczniona, ideał nadchodzącego społeczeństwa. W rezultacie byłem kimś w rodzaju czerwonego mnicha, nudnego ascety. Flaki z olejem, jak powiedziała mi w kilka lat później pewna dziewczyna, nie chcąc zostać moją narzeczoną, gdy zagadnąłem ją o całkowicie niezrozumiałe — dla mnie — powody



odmowy.

Bycie młodym komunistą przez ponad sześć lat oznaczało przechowywanie pod skórą biletu donikąd. Wszyscy moi przyjaciele z okresu dzieciństwa mieli jakieś wytyczone szlaki: jedni planowali studia w USA, inni w Urugwaju, inni w Europie, a jeszcze inni zamierzali podjąć jakąś pracę. Tylko ja postanowiłem nie opuszczać mojego stanowiska bojowego.

Gdy miałem osiemnaście lat, pragnąłem pójść w ślady Che, najwszechstronniejszego człowieka, jakiego zrodziła Ameryka Łacińska. Nadszedł wtedy czas uregulowania dopłaty do biletu donikąd.

Zawsze starałem się unikać tematu więzienia w czasie dyktatury wojskowej w Chile. Unikałem go, bo po pierwsze, życie zawsze wydawało mi się porywające i godne przeżycia do ostatniego tchu, toteż poruszanie tak plugawego epizodu zdawało mi się nikczemną obelgą dla życia, a po drugie, napisano wystarczająco wiele wspomnień na ten temat, niestety na ogół bardzo nieudanych.

Dwa i pół roku mojej młodości spędziłem zamknięty w jednym z najpodlejszych więzień chilijskich, w Temuco.

Samo uwięzienie nie było najgorsze w tym wszystkim, za murami bowiem życie toczyło się dalej, a czasem nawet było ciekawsze niż na zewnątrz.

„Jotwutowcy” —jeńcy wojenni — cała elita uniwersytecka z Południa, utworzyli różne akademie i w ten sposób wielu naszych nauczyło się języków obcych, matematyki, fizyki kwantowej, historii powszechnej, historii sztuki, historii filozofii. Pewien profesor, nazwiskiem

I')

Iriarte, prowadził przez dwa tygodnie znakomite seminarium na temat

Keynesa i poglądów politycznych współczesnych ekonomistów, na które oprócz setki więźniów uczęszczali także liczni wysocy rangą oficerowie. Dziennikarz i pisarz Andres Muller rozprawiał o błędach taktycznych paryskich komunardów, wywołując zdumienie żołnierzy pilnujących więziennego warsztatu obuwia, który ochrzciliśmy mianem Wielkiego Salonu Ateneum w Temuco. Inny wybitny „jotwu-towiec”, Genaro Avendano — „zniknęli go” w roku 1979 — zachwyił więźniów i wojskowych dramatyzacją słynnego wystąpienia Unamuna w Salamance. Dorobiliśmy się nawet małej biblioteki, zawierającej tytuły objęte na zewnątrz całkowitym zakazem, a wszystko dzięki osobliwej cenzurze stosowanej przez podoficera obarczonego funkcją sprawdzania książek, które przesyłały nam rodziny i przyjaciele. Byliśmy mu dozgonnie wdzięczni za włączenie do podręcznego księgozbioru egzemplarza Otwartych żył Ameryki, który uświetnił naszą bibliotekę. Nie brakowało nawet wykładów na temat wykwintnej kuchni. Jak mógłbym zapomnieć Julia Garcesa, byłego kucharza z Club de la Unión, mekki chilijskiej arystokracji, który z pasją bronił delikatnego tłuszczu z królika, niezbędnego w przygotowaniu potrawy z króliczej wątróbki, a nadto upierał się, że należy bezwzględnie gotować sos kongerowy z tym samym białym winem, które potem rozweseli stół. W kilka lat później spotkałem Garcesa w Belgii. Był właścicielem wykwintnej restauracji w Brukseli i z dumą pokazywał mi dwa dyplomy, którymi przewodnik Michelina nagroził jego sztukę kulinarną. Owe dwa eleganckie dyplomy były zaledwie tłem dla trzeciego, wykonanego odręcznie na kartce wyrwanej z zeszytu: Michelin z Temuco, który przyznaliśmy mu za cudowny suflet ze wspomnień morza, con amore przyrządzony z puszki małży, resztek chleba

i aromatycznych ziół uprawianych w doniczce, której pieczołowicie strzeżliśmy przed więziennymi kocurami.

Dziewięćset czterdzieści dwa dni trwał pobyt na tej ziemi, wspólnej i niczyjej. Przebywanie tam nie było najgorszą rzeczą, jaka mogła nas spotkać; jeszcze jeden sposób na życie.

Najgorsze następowało wtedy, gdy mniej więcej co piętnaście dni wzywano nas do dowództwa pułku Tucapel na przesłuchanie. Wtedy pojęliśmy, że wreszcie dotarliśmy donikąd.

Wojskowi mieli dość wygórowane mniemanie o naszych zdolnościach destrukcyjnych. Wypytywali nas o plany zgładzenia wszystkich oficerów w militarnej historii Ameryki, o wysadzanie mostów i zasypywanie tuneli, a nadto o przygotowania do desantu groźnego wroga z zewnątrz, chociaż nie potrafili go zidentyfikować.

Temuco jest smutnym, szarym i deszczowym miastem. Trudno było określić to miejsce jako atrakcję turystyczną, a jednak pułk Tucapel stał się czymś na kształt nieustającego międzynarodowego kongresu sadystów. Oprócz chilijskich wojskowych, gorzej lub lepiej pełniących rolę gospodarzy, w przesłuchaniach brały udział małpoludy z brazylijskiego wywiadu wojskowego (ci byli najgorsi), Amerykanie z Departamentu Stanu, Argentyńczycy z grup paramilitarnych, włoscy neofaszyści, a nawet kilku agentów Mossadu.

Jakże mógłbym zapomnieć o Chilijczyku Rudim Weisman-nie, miłośniku żaglowców i Południa, który był torturowany, a potem przesłuchiwany w słodkim języku synagog? Rudi, całkowicie oddany sprawie Izraela — zamieszkał w kibucu, ale nostalgia za Ziemią Ognistą okazała się silniejsza i wrócił do Chile—nie mógł znieść tego świętokradztwa. Nie

potrafił zrozumieć, dlaczego Izrael popiera tę bandę kryminalistów. I tak Rudi Weismann, symbol dobrego humoru, zesechł i szerniał jak zapomniany pęd. Pewnego ranka znaleźliśmy go martwego w śpiworze. Wyraz jego twarzy wykluczył potrzebę sekcji: Rudi Weismann umarł ze zgryzoty.

Dowódca pułku Tucapel — nie wymieniam jego nazwiska z elementarnego szacunku dla kartki papieru — był fanatycznym wielbicielem marszałka Rommla. Więźniów, którzy przypadli mu do gustu, zapraszał do swojego gabinetu, by mogli odpocząć po przesłuchaniu. Tam, zapewniwszy uprzednio, że wszystko, co dzieje się w pułku, służy bogoojczyźnianym interesom kraju, zapraszał na kieliszek komu — ktoś przysyłał mu z Niemiec ten mdły, zbożowy likier — i zmuszał do wysłuchiwanie wykładu o Afrikakorps. Osobnik ów był synem albo wnukiem Niemca, ale trudno było o bardziej chilijski wygląd: przysadzisty, z krótkimi nogami, z ciemną i zwichrzoną czupryną. Mógł uchodzić za kierowcę ciężarówki albo za sprzedawcę owoców, ale kiedy rozprawiał o Rommlu, przeobrażał się w karykaturę hitlerowca.

Pod koniec wykładu odgrywał teatralnymi gestami samobójstwo Rommla: stukał obcasami, salutował niewidzialnej banderze, mruzczał adieu geliebtes Vaterland i wpychał sobie lufę pistoletu do ust. Mieliśmy nadzieję, że kiedyś naprawdę pociągnie za spust.

W pułku był również inny dziwaczny oficer — porucznik, który próbował starannie maskować swój homoseksualizm, objawiający się w każdym jego geście. Żołnierze, o czym wiedział, nadali mu przydomek Stokrotek. Wszyscy jotwutowcy widzieli, jak bardzo Stokrotek cierpi, nie mogąc

ozdobić swego ciała naprawdę pięknymi przedmiotami, co nieszczęśnik rekompensował sobie gadżetami dopuszczonymi regulaminem wojskowym. Nosił pistolet kaliber czterdzieści pięć, dwie ładownice, nóż komandoski, dwa granaty, latarkę, walkie-talkie, baretki, insygnia i odznakę z posrebrzаныmi skrzydłami — godło spadochroniarza. Więźniowie i żołnierze dzielali opinię, że wygląda jak choinka w Boże Narodzenie.

Osobnik ten czasem zaskakiwał nas wspaniałomyślnymi i pozornie bezinteresownymi gestami — nie wiedzieliśmy, że syndrom sztokholmski budzi w nim militarną perwersję — i nieoczekiwanie, po zakończeniu przesłuchania, napełniał nam kieszenie papierosami i ukochaną przez nas Aspiryną Plus Witamina C. Pewnego popołudnia zaprosił mnie do swego pokoju.

— A więc jest pan literatem—stwierdził, podając mi puszkę coca-coli.

— Napisałem kilka opowiadań, to wszystko — odpowiedziałem.

— Nie zaprosiłem pana na przesłuchanie. Bardzo ubolewam nad tym, co się dzieje, ale taka jest wojna. Chciałbym porozmawiać jak pisarz z pisarzem. Dziwi się pan? Wśród wojskowych też zdarzają się wielcy literaci. Weźmy na przykład don Alonsa de Ercilla y Zuniga.

— Albo Cervantesa — dodałem.

Stokrotek widział się pośród wielkich. To jego zmartwienie. Jeśli oczekuje pochlebstw, bardzo proszę. Piłem coca-colę i rozmyślałem o Garcesie, a ściślej o kurze Garcesa, bo—choć wydaje się to niewiarygodne — kucharz miał kurę, którą nazwał Dulcyneą.

Pewnego ranka przeskoczyła przez mur oddzielający pospolitych więźniów od jotwutowców, co, jak się zdaje, dowodziło, że była to kura o

wyrobionych poglądach politycznych, skoro postanowiła zostać razem z nami. Garces głaskał ją, mamrocząc: „Ach, gdybym miał odrobinę mielonej papryki i kminku, zrobiłbym wam marynowany drób, jakiego jeszcze nigdy nie próbowaliście”.

— Chciałbym, żeby przeczytał pan moje wiersze i przedstawił swoją opinię jak najbardziej szczerą—powiedział Stokrotek, wręczając mi zeszyt.

Wyszedłem od niego z kieszeniami wypchanymi papierosami, cukierkami, torebkami herbaty i słoikiem dżemu U.S. Army. Owego popołudnia uwierzyłem w braterstwo między pisarzami.

Z więzienia do pułku i z powrotem woziła nas ciężarówka transportująca bydło. Żołnierze bardzo dbali o to, by na podłodze było wystarczająco dużo krowiego łajna, i zawsze kazali nam kłaść się na brzuchu, z rękoma na karku. Pilnowało nas czterech strażników, uzbrojonych w karabiny GAL, usadowionych w czterech rogach ciężarówki. Niemal wszyscy pochodzili z garnizonów na Północy i z powodu ostrego klimatu Południa byli nieustannie zagrypieni i ponurzy. Mieli rozkaz strzelać do ładunku, to znaczy do nas, wobec każdego podejrzanego ruchu, a także do wszystkich cywilów próbujących zbliżyć się do ciężarówki. Ale z czasem dyscyplina rozluźniła się i żołnierze przymykali oczy na paczkę papierosów albo owoc rzucony z okna, albo na ja-

23

kąś odważną i piękną dziewczynę, która, biegnąc przy ciężarówce, posyłała całusy i wykrzykiwała: „Wytrzymajcie, towarzysze! Zwyciężymy!”

W więzieniu jak zwykle czekał na nas komitet powitalny na czele z

doktorem „Chudym” Pragnanem, obecnie wziętym psychiatrą w Belgii. Najpierw badano tych, którzy nie byli w stanie chodzić, i tych, którzy wracali z arytmia serca, potem poszkodowanych z przemieszczonymi kośćmi albo pękniętymi żebrami. Pragnan był ekspertem od dawek prądu, jakie były aplikowane więźniom, i cierpliwie wyjaśniał, kto może się napić w najbliższych godzinach. Potem nadchodził czas komunii, kiedy to przyjmowaliśmy z jego rąk Aspirynę Plus Witamina C i tabletki przeciwzakrzepowe na wewnętrzne krwiaki.

— Godziny Dulcinei są policzone — oświadczyłem Garcesowi i poszukałem spokojnego kąta, by przeczytać zeszyt Stokrotka.

Stronice, zapisane starannym pismem, tchnęły miłością, miodem, subtelnym cierpieniem i zapomnianym kwieciem. Wystarczyły mi niecałe trzy strony, aby przekonać się, że Stokrotek nawet nie zadał sobie trudu, by splagiatować meksykańskiego poetę Amada Nervo: po prostu przepisał żywcem jego wiersze.

Odszukałem Peyuca Galveza, profesora języka hiszpańskiego, i przeczytałem mu kilka poematów.

— Co o tym sądzisz, Peyuco?

— Amado Nervo. Tomik nosi tytuł Wewnętrzne ogrody. Wpakował mnie w tarapaty, i to nieliche. Jeżeli Stokrotek domyśli się, że znam twórczość Nervo, poety bez wątpienia lukrowanego, wtedy policzone będą godziny nie kury Garce-sa, ale moje. Sprawa była poważna, toteż jeszcze tego samego wieczoru przedstawiłem ją na forum Rady Starców.

— Czy Stokrotek jest pedałem wstępującym, czy ustępującym? — dopytywał się Iriarte.

— Przestań pieprzyć. Tu chodzi o moją skórę — oświadczyłem.

— Pytam poważnie. Możliwe, że wojak chce mieć z tobą romansik i wręczenie ci zeszytu oznaczało upuszczenie batystowej chusteczki. A tyją podniosłeś, dupku. Być może przepisał wiersze, żebyś ty odczytał w nich przesłaną wiadomość. Znam wielu pedałów, którzy uwodzą chłopaczków, pożyczając im Demiana Hermanna Hesse. Jeśli Stokrotek jest z tych wstępujących, wtedy będziesz musiał być nie jego Amadem Nervo, ale jego amorem z nerwem. A jeśli jest ustępujący, to cóż, chyba będzie mniej bolało niż kopniak w jaja.

— Żadna tam wiadomość. Wojak dał ci te wiersze jako swoje i musisz mu powiedzieć, że jesteś nimi zachwycony. Gdyby chodziło o jakąś wiadomość, to dałby zeszyt Garce-sowi. Tylko on ma wewnętrzny ogródek. Chyba że Stokrotek nic nie wie o doniczce — zauważył Andres Miiller.

— Bez żartów. Coś musisz mu powiedzieć i Stokrotek nie powinien nawet podejrzewać, że znasz poematy Nervo — dowodził Pragnan.

— Powiedz mu, że wiersze podobały ci się, tyle że trochę za dużo tam przymiotników. Zacytuj mu Vicente Huidobro: przymiotnik, który nie daje życia, jest zabójczy. Tym udowodnisz, że uważnie przeczytałeś jego poematy i poddajesz je krytycznej ocenie, jak kolega koledze — podsunął Galvez.

Rada Starców zaaprobowała pomysł Galveza, ale ja przez dwa tygodnie miałem duszę na ramieniu. Nie mogłem spać. Wolałem, by zabrano mnie na przesłuchanie z kopniakami i elektrowstrząsami, niż zwracać ten



przeklęty zeszyt. Przez ten czas niemal znienawidziłem poczciwego Garcesa:

— Bracie, jak wszystko pójdzie dobrze i oprócz kminku i sproszkowanej papryki zdobędziesz słoik kaparów; ach, stary, taki bankiet z kury sobie zrobimy!

Po piętnastu dniach nareszcie znalazłem się z twarzą wtuloną w materac z krowich odchodów i z rękoma na karku. Pomyślałem, że chyba oszalałem: cieszyłem się, że jadę na spotkanie z czymś, co nazywa się torturami. Pułk Tucapel. Intendentura. W głębi odwieczna zieleń wzgórza Ñelol, świętego miejsca Indian Mapuche. Pokój przesłuchań poprzedzała poczekalnia, zupełnie jak w przychodni lekarskiej. Tam sadzali nas na ławie, z rękoma związanymi na plecach i z czarnym kapturem zarzuconym na głowę. Nigdy nie mogłem pojąć, po co był ten kaptur, skoro

25

zdejmowano go nam potem i mogliśmy przyglądać się twarzom przesłuchujących i wojakom, którzy z paniką w oczach kręcili korbą generatora elektrycznego, i sanitariuszom, którzy mocowali nam elektrody w odbycie, na jądrach, dziąsłach, języku, a potem osłuchiwali nas, żeby przekonać się, kto udaje, a kto rzeczywiście stracił przytomność podczas kaźni.

Tego dnia jako pierwszy przesłuchiwany był Lagos, duszpasterz sprzedawców używanych ubrań w Emmaus. Od roku już maltretowano go pytaniami o pochodzenie kilkudziesięciu starych mundurów wojskowych, znalezionych w magazynach sprzedawców. Ofiarował je pewien kupiec handlujący militariami. Lagos, wyjął z bólu, powtarzał raz po raz wszystko to, co żołdactwo chciało usłyszeć: te mundury należały do wojsk

inwazyjnych, przygotowujących się do desantu na wybrzeże chilijskie. Czekałem na swoją kolej, gdy nagle czyjeś ręce zdjęły mi kaptur z głowy. Był to porucznik Stokrotek.

— Proszę za mną — rozkazał.

Weszliśmy do biura. Na biurku zobaczyłem puszkę kakao i karton papierosów, które niewątpliwie miały wynagrodzić moją opinię na temat jego dzieła literackiego.

— Przeczytał pan moje poezje? — zapytał, wskazując mi krzesło.

Poezje. Stokrotek mówił o poezjach, a nie o wierszach. Jeżeli facet obładowany pistoletami i granatami używa słowa „poezje”, musi to zabrzmieć komicznie i po pedalsku. Poczulem do niego takie obrzydzenie, że powiedziałem sobie, że prędzej będę sikać krwią, dławić się i ładować baterie przez dotyk, niż poniżę się do pochlebstw wobec żołdaka--pedała i złodzieja cudzego talentu.

— Ma pan ładny charakter pisma, poruczniku. Ale zdaje pan sobie sprawę z tego, że to nie są pańskie wiersze — powiedziałem, oddając mu zeszyt. Zobaczyłem, jak zatrzęsł się. Ten facet miał przy sobie broń i mógł zabić mnie od razu, a jeżeli nie chciał pobrudzić sobie munduru, mógł rozkazać, by wykończył mnie ktoś inny. Dygocząc z wściekłości, wstał, zrzucił na podłogę wszystko, co znajdowało się na biurku, i ryknął:

— Trzy tygodnie karczeru, ale najpierw będziesz miał pedicure, zasrany wywrotowcu!

Specjalistą od pedicure był cywil, latyfundysta. Reforma rolna pozbawiła go kilku tysięcy hektarów i w ramach odwetu brał udział w przesłuchaniach jako wolontariusz. Wprawiał się w wyrywaniu paznokci u

nóg, co powodowało paskudne infekcje.

Znałem już karcer. Pierwsze sześć miesięcy więzienia spędziłem w całkowitym odosobnieniu tam właśnie, w podziemnym pomieszczeniu długim na półtora metra, tyleż szerokim i tyleż wysokim. Dawniej więzienie w Temuco było garbarnią i karcer służył ongiś jako magazyn łożu. Cementowe ściany ciągle jeszcze śmierdziały łożem, chociaż po tygodniu obfitość własnych odchodów zamieniała owo pomieszczenie w bardzo intymny przybytek.

Można było wyciągnąć się wyłącznie w pozycji na skos, ale dotkliwy chłód południowego Chile, deszczowa woda i uryna żołnierzy zachęcały raczej do tego, by podkurczyć nogi i tkwić tak, marząc o tym, by ciało skurczyło się jak najbardziej i stało się tak malutkie, aby można zamieszkać na jednej z wysepek pośród morza gówna. Spędziłem tak trzy tygodnie, opowiadając sobie filmy Laurela i Hardy'ego, przypominając sobie słowo po słowie powieści Salgariego, Ste-vensona i Londona, rozgrywając niekończące się partie szachów, wylizując palce u nóg, aby uchronić je przed infekcją. W karcerze poprzysiągłem sobie, że nigdy nie będę zajmować się krytyką literacką.

W 1976 roku, pewnego czerwcowego dnia, zakończyła się podróż donikąd. Dzięki zabiegom Amnesty International wyszedłem z więzienia i choć ostrzyżony do skóry i lżejszy o dwadzieścia kilo, pełnymi haustami oddychałem powietrzem gęstym od wolności, ograniczonej strachem przed ponowną jej utratą. Wielu towarzyszy, którzy zostali tam w środku, zginęło / r;)k wojskowych. Chępię się tym, że nie

27

zapominam ani nie przebaczam moim katom. Życie dało mi wiele

pięknych chwil, ale żadna nie może się równać z chwilą radości, gdy otwieram butelkę wina na wieść o tym, że jeden z tych kryminalistów został zastrzelony na ulicy. Podnoszę wtedy kieliszek i mówię: „Jednego skurwysyna mniej, niech żyje życie!”

Niektórych moich towarzyszy, którzy zdołali przeżyć, spotkałem gdzieś w świecie, innych nie zobaczyłem już nigdy, ale wszyscy zajmują szczególne miejsce w mych wspomnieniach.

Pewnego dnia, pod koniec 1985 roku, w jednym z barów w Walencji, niespodziewanie natknąłem się na Galveza. Opowiedział mi, że mieszka we Włoszech, w Mediolanie, ma obywatelstwo włoskie i cztery przepiękne córki, a wszystkie Włoszki. Po długim i skropionym łzami uścisku zaszyliśmy się w kącie, by pogawędzić o starych czasach i, co oczywiste, kura była jednym z wątków rozmowy.

— Niech odpoczywa w spokoju — powiedział Galvez. — Byłem ostatnim z weteranów, który wyszedł na wolność pod koniec siedemdziesiątego ósmego. Zabrałem ją ze sobą. Żyła szczęśliwa i tłusta w moim domu w Los Angeles, aż zmarła ze starości. Jest pochowana w ogrodzie pod kamieniem, na którym widnieje napis: „Tu spoczywa Dulcynea, dama rycerzy niemożliwych, władczyni nieistniejącego cesarstwa”.

## CZĘŚĆ DRUGA

Zapiski z podróży w tamtą stronę

Wiedziałem, że granica jest już blisko. Jeszcze jedna moja granica, chociaż nie widziałem jej. Jedynie odbłask słońca na metalowej konstrukcji zakłócał monotony zmierzch andyj-ski. Tam właśnie kończyła się La Quiaca i Argentyna. Po drugiej stronie było Villazón i terytorium Boliwii. Przez ponad dwa miesiące przemierzałem drogę między Santiago de Chile

i Buenos Aires, Montevideo i Pelotas, Sao Paulo i Santos, port, gdzie rozwiały się moje plany zaokrętowania się na statek płynący do Afryki albo do Europy.

Na lotnisku w Santiago chilijscy wojskowi przyłożyli w moim paszporcie pieczętkę z enigmatyczną literą „L”. Lump? Leser? Lunatyk? Libertyn? Nie wiem, czy słowo za-dzumiony zaczyna się w jakimkolwiek języku na „l”, ale faktem jest, że mój paszport wzbudzał odrazę w każdym towarzystwie żeglugowym.

— Nie. Nie chcemy Chilijczyków legitymujących się paszportem z „L”.

— Czy może mi pan wyjaśnić, co to jest to cholerne „L”?

— Już pan wie lepiej ode mnie. Do widzenia.

Dobra mina do złej gry. Miałem dużo czasu na tę grę, ba, miałem czas całego świata, zatem postanowiłem zaokrętować się w Panamie. Dystans między Santos a Kanałem liczy mniej więcej cztery tysiące kilometrów, ale taka wędrówka to pryszcz dla kogoś, kto ma ochotę podróżować.

Nieraz uwieszony na zdezelowanych autobusach, ciężarówkach i pociągach opieszających i opornych, dotarłem do Asunción, miasta przenikniętego rozdzierającym smutkiem,

I

I

wiecznie chłostanego nostalgicznymi wiatrami znad Chaco. Z Paragwaju wróciłem do Argentyny i wędrując przez nieznaną krainę Humahuaca, dojechałem do La Quiaca, zamierzając dotrzeć do La Paz. A potem... no cóż, o tym za chwilę. Istotne było to, by w dryfie przeczekać czas strachu w ten sam sposób, w jaki statki na pełnym morzu, dryfując, przeczekują przybrzeżne sztormy.

Czułem się osaczony przez ów czas strachu. W każdym mieście, w którym zatrzymywałem się, odwiedzałem starych znajomych lub nawiązywałem nowe przyjaźnie. Poza nielicznymi wyjątkami wszystkie napotkane osoby owiane były tą samą gorzką, przygnębiającą aurą: ludzie żyli w strachu i dla strachu. Uczynili z niego labirynt bez wyjścia, nasycali tym strachem wszystkie rozmowy i posiłki. Nawet błahe fakty przyoblekali w bezsensowną przezorność, a wieczorem nie układali się do snu, aby śnić o lepszych dniach lub o przeszłości, lecz by pogrążyć się w lepkiem, mrocznym strachu, strachu martwych godzin, który o świcie wyganiał ich z łóżka z podkrążonymi oczyma, jeszcze bardziej zalęknionych.

W czasie podróży, pewnej nocy spędzonej w Sao Paulo, rozpaczliwie próbowałem miłości. Była to całkowita klęska i jedyne zwycięstwo odniosły nogi mojej towarzyszki, szukające moich nóg w spontanicznym języku skóry i poranka.

— Fatalnie nam to wyszło — powiedziałem chyba wtedy.

— Nie da się ukryć. Jakby nas podglądali. Jakbyśmy posługiwali się ciałami i czasem użyczonym przez strach —  
odpowiedziała.

Nogi. Te daremne tłuste wałeczki pieściły się, podczas gdy my wypalaliśmy papierosa.

— Kiedy indziej tak łatwo można było wkroczyć do krainy szczęścia. Nie było jej na żadnej mapie, ale wszyscy znaliśmy drogę. Były tam jednorożce i pola marihuany. Gdzieś zatarła się granica — dodała.

Dotarłem do La Quiaca po południu i gdy tylko wysiadłem z pociągu, poczułem na policzkach smagnięcie andyjskiego chłodu. Chciałem wyciągnąć z plecaka sweter, ale porzuciłem tę myśl i zdecydowałem się na

szybki marsz w poszukiwaniu ciepła. Niemal biegnąc, dopadłem kasy biletowej.

— Jutro chcę jechać do La Paz. Czy może mi pan powiedzieć, o której odjeżdża pociąg?

Kasjer parzył matę. Trzymał w ręku wielką tykwę ze srebrnym uchwytem. Zapachniały zioła. Niepowtarzalny aromat, jaki daje ta cudowna mieszanka goryczy i słodczy. Pomyślałem sobie, że w ten ziab dobrze by mi zrobiło matę.

Kasjer przypatrywał mi się, lustrując moją twarz od ucha do ucha, od czoła do podbródka, a potem nagle odwrócił wzrok. To był strach. Spojrzał na plakat ze zdjęciami poszukiwanych osób. Nie poczęstował mnie matę, a zanim odpowiedział, odstawił tykwę.

— O to musisz pan zapytać Boliwijczyków. Granica jest o dwa kroki stąd, ale teraz nikogo nie przepuszczają.

Mówił ze śpiewnym akcentem jak ludzie z Salta albo z La Rioja.

Obok stacji był hotel, szary i nijaki jak wszystkie hotele w prowincjonalnych miastach. Już w pokoju — mosiężne łóżko, kulawy nocny stolik, lichtarz ze świeczką na dwa palce, lustro, blaszana umywalka, dzbanek z wodą i skrawek szmaty udającej ręcznik — otworzyłem plecak i włożyłem gruby sweter. W środku było równie zimno jak na dworze, ale łóżko wystarczało na jedną noc. Prześcieradła nakrochmalone były aż do przesady i miały tę samą co ręcznik gładkość kory drzewnej, ale koce były grube i z dobrej wełny. Przypomniałem sobie, jak ktoś mawiał — któż to mógł być? — że zimno jest najlepszym sprzymierzeńcem higieny hotelowej.

Wyszedłem z hotelu, żeby zwiedzić La Quiaca. Zagłębiłem się w puste i

ciche uliczki, zabudowane glinianymi domkami, których kontury, w miarę przesuwania się cienia, nakładały się na zarys pobliskich gór. Po kilku przecznicach trafiłem na otwarty sklep z barem. Dochodził stamtąd zapach smażonego mięsa i zew moich kiszek skierował mnie do stolika nakrytego papierem do pakowania.

— Serwujemy dzisiaj tylko pieczone żeberka wołowe — oświadczył kelner. Był to człowieczek o rozłożystych ramionach i krótkich nogach, a na głowie sterczał mu wiecheć włosów jak na szczotce, okalający jego totemiczne oblicze. Przeciągał głoskę „s”, jakby mówił z zaciśniętymi ustami.

I

Mięso było przepyszne. Spod noża tryskał smakowity sos i z przyjemnością zgarniałem go chlebem. Wino było nieco gorzkawe, ale podnosiło na duchu.

Po jedzeniu poprosiłem o kieliszek cañii i z ulgą wydobyłem z siebie odprężające beknięcie. Wtedy zobaczyłem starca. Miał na sobie skórzaną, wyświechtaną kurtkę. Wszedł i położył na stole robocze rękawice i mosiężną lampę.

Skinieniem głowy odpowiedział na gesty kelnera, a kiedy postawiono przed nim dzbanek z winem, upił z zamkniętymi oczyma spory łyk, z zadowoleniem człowieka kończącego wyczerpujący dzień pracy.

Podszedłem do niego.

— Przepraszam, czy jest pan może kolejjarzem?

— Tak i nie — odpowiedział.

Jego odpowiedź niemile mnie zaskoczyła, ale on w chwilę potem wskazał mi krzesło.



— Tak, jeśli chodzi o kolej, a nie, jeśli chodzi o pracę. Jestem robotnikiem.

— Rozumiem. Przepraszam.

— Chilijczyk?

— Na to wygląda.

— Zjesz pan coś?

Podziękowałem i powiedziałem, że już jadłem, po czym zapytałem go o rozkład jazdy pociągów do La Paz. W tym momencie przyniesiono mu mięso i staremu rozbłysły oczy. Przetarł serwetką nóż i widelec.

— Smacznego.

— Stokrotne dzięki. Chcesz wina?

Nie czekając na odpowiedź, pstryknął palcami, prosząc kelnera o drugi dzbanek. Włożył do ust pierwszy kawałek mięsa i przybrał rozmarzony wyraz twarzy.

— Najlepszym kawałkiem wołowiny są pieczone żeberka. Cóż to za szlachetne zwierzę, obłożone z wszystkich stron befsztykami, ale najlepsze są pieczone żeberka.

— Zgadzam się z panem. Na zdrowie.

— Na zdrowie. Wiesz, czego tu brakuje na Północy? Sosu chimichurri.

Tego tu brakuje. Rym do wiersza, chimichurń do pieczenia.

— Ma pan całkowitą rację.

I

Starzec przeżuwał z makrobiotyczną starannością. Kilka kropel tłuszczu próbowało wymknąć się kącikami ust, ale język operował z zadziwiającą szybkością. Po starciu na papkę kawałeczki mięsa spływały do gardła w strumieniu wina.

— Powiadasz, że wybierasz się do La Paz. Uważaj na siebie tam wysoko, na punie. Jak cię złapie choroba wysokogórska, jedz cebulę. Wsadź cebulę do pyska. Do La Paz. Pociąg odjeżdża między ósmą a dwunastą i nie jest, jak to się mówi, pierwsza klasa. Masz bilet?

Mówił, nie patrząc na mnie. Całą uwagę skupił na kawałkach mięsa, które pływały się w sosie w powolnej agonii, aż całkowicie zniknęły z talerza.

— Nie, jeszcze nie kupiłem — odpowiedziałem, mając już ochotę pożegnać się, ale stary zamówił następny dzbanek wina.

— Wybacz moją nieuprzejmość, ale byłem cholernie głodny. Ponad dwanaście godzin nie miałem nic w gębie. Masz pojęcie?

— Wszystko w porządku.

— Tak więc nie masz biletu. Musisz wobec tego przekroczyć wcześniej granicę. Otwierają o siódmej i zawsze jest długa kolejka.

— Postaram się przyjść jako jeden z pierwszych.

— Człowieku, to nie wystarczy. W kasie Boliwijczycy powiedzą ci, że nie ma miejsca i wszystkie bilety są już sprzedane. To ci powiedzą. Taka ich mać. I wiesz, co masz wtedy zrobić? Złożyć na pół banknot, pięćdziesiątaka. Chwytasz, o co chodzi?

— Tak. Dziękuję za informację.

Stary przyglądał mi się z figlarnym błyskiem w oku. Z kieszeni kurtki wyjął srebrną igłę i zaczął dłubać sobie w zębach.

— Więc jesteś Chilijczyk.

— Gdzieś trzeba się urodzić.

— Źle tam stoją sprawy, no nie?

„Sprawy”. Jeśli czegoś nie znośłem, to właśnie pytań

1 odpowiedzi, a w tamtych latach strachu mówienie o sprawach nie było wskazane.

XA

I

— Jak wszędzie, tak sędzę.

— Masz rację. Cały świat gnije.

Także filozofowanie z obcym o powszechnym gniciu nie było zalecane.

Zrobiłem gest, jakbym miał zamiar wstać od stołu. Stary poklepał mnie po ramieniu.

— Wiesz, w czym rzecz, Chilijczyku?

— Nie. W czym rzecz?

— Że ciągle jestem głodny. W tym rzecz. Co ty na to, żebyśmy zamówili następny kawałek pieczystego, a ty dostaniesz połówkę?

Wtedy pomyślałem sobie o tych pieprzonych latach strachu, o mojej wędrówce, podczas której zwykle jadałem sam, byle szybko, i zdałem sobie sprawę, że spędzenie kilku godzin przy tym stole jest czymś w rodzaju buntu.

— Zgoda, ale ja stawiam wino.

— W porządku! — wykrzyknął stary, ściskając mnie za rękę.

Jedliśmy. Piliśmy. Gadaliśmy o obiecującym chłopaczku, niejakim Maradonie, który prowadzi piłkę jak Chamaco Valdes; porównywaliśmy pięści Oscara Ringa Bonaveny i Martina Vargasa; byliśmy zgodni, że Carlitos był niezrównany, ale gdyby porównać głosy, to Julio Sosa, mistrz tanga, był nie do pobicia. Bar ze stołami nakrytymi papierem do pakowania przemienił się w rodzinny salon, gdzieś w Ameryce Łacińskiej,

pewnego popołudnia, które wspólnie spędził pewien Argentyńczyk z pewnym Chilijczykiem. Lata strachu pozostały na zewnątrz, a niewidzialny i nieustępliwy odzwierny zagroził im drogę jak nieproszonym gościom.

Kiedy kończyliśmy kolację, stary przypomniał mi, że muszę być wcześniej na przejściu granicznym i zacisnąwszy w pięść lewą dłoń, odchylając kciuk, wskazał mi jakiś punkt, który znajdował się gdzieś w niebie, a może tuż za jego plecami.

— Jest bardzo blisko. Granica zaczyna się od pociągu — powiedział.

Łóżko w pokoju hotelowym było zimne, trochę nawet wilgotne, i długo trwało, zanim się wygrzałem. Czułem się zmęczony podróżą i pięcioma d/bankami wina, opróżnionymi

z kolejarzem. Chciało mi się spać, ale bałem się, że przegapię pociąg.

Pomysł, żeby zostać w La Quiaca dzień dłużej, nie zachwycił mnie. Na szczęście miałem wystarczająco dużo papierosów; dzięki nim przetrwałem tę noc.

Świt przyszedł bez uprzedzenia, jakby jakaś mocarna ręka zdarła gwałtownie zasłonę cieni i rażąca oczy jasność wtargnęła do pokoju.

Spojrzałem na zegarek: była szósta rano. Dobra godzina na spacer nad granicę.

Wkrótce po wyjściu natknąłem się na osobliwą budowlę, którą dostrzegłem wczoraj: żelazny most. Na jednym końcu strażnica ozdobiona kolorami flagi argentyńskiej. Na drugim inna strażnica w kolorach flagi boliwijskiej. Pod mostem nie przepływała żadna rzeka.

Parę minut po siódmej zaspani wartownicy argentyńscy otworzyli granicę.

Było mnóstwo ludzi, kobiet, mężczyzn i dzieci o nieprzeniknionych twarzach, którzy porozumiewali się syczącym ajmara, a ich policzki wydymały się od kulek koki. Obładowani byli walizkami, tobołami, pękami traw, owocami, warzywami, sprzętami kuchennymi i bliżej nieokreślonymi przedmiotami, kurami zwieszającymi się głową w dół, o bladych ślepiach i rozłożonych bezmyślnie skrzydłach. Po drugiej stronie mostu czekała podobna masa ludzka i widząc, że szyny zaczynają się od boliwijskiej strażnicy, przypomniałem sobie słowa kolejarza.

Argentyńscy pogranicznicy obejrżeli mój paszport, porównali zdjęcie z wywieszonymi fotografiami osób poszukiwanych i bez słowa zwrócili mi paszport. Przeszedłem przez most. Żegnaj, Argentyno! Witaj, Boliwio! Żołnierze boliwijscy powtórzyli ten sam rytuał, ale tym razem mieli do mnie kilka pytań.

— Dokąd pan jedzie?

— Do La Paz.

— Ma pan bilet?

— Nie. Dlatego przyszedłem wcześniej.

— Jak długo pozostanie pan w Boliwii? Ma pan adres w La Paz?

— Nie. Stamtąd jadę dalej.

— Dokąd?

37

I

I

Dokąd? Zacząłem się zastanawiać. Pomyślałem o małej szkolnej mapie Ameryki Południowej, którą miałem w plecaku. Na tej mapie roiło się od intrygujących nazw i mógłbym powiedzieć Lima, Guayaquil, Bogota,

Cartagena, Pa-ramaribo, Belem, ale na końcu języka znalazłem jedyne słowo, to, które usłyszałem niegdyś od dziadka. — Do Martos... w Hiszpanii.

Żołnierz pozwolił mi przejść, ale miałem wrażenie, że przeszył mnie nienawistnym spojrzeniem. To były oczy rozwścieczonego boga. Oczy pałające czarnym ogniem na kamiennym obliczu...

Na stacji w Villazón poszedłem za radą kolejarza i starannie złożony pięćdziesięciopesowy banknot przemienił odmowę biletera w narzekania na tych, co kupują bilet w ostatniej chwili. Stacja w Villazón była mniejsza niż w La Quiaca. Były tam dwa betonowe perony, lśniące czystością.

— Pociąg przyjeżdża między ósmą a dziesiątą, zapelnia się między dziesiątą a dwunastą i odjeżdża, kiedy jest komplet pasażerów — poinformował mnie bileter.

Miałem dość czasu, by się rozejrzeć. Od jednej z handlarek kupiłem dwie empanadas i dzbanek z kawą. Usadowiony na plecaku, patrzyłem, jak stacja przemienia się w radosne targowisko, gdzie handlowano żywnością, owocami, domowymi sprzętami i zwierzętami. Z upodobaniem chłonałem ten nieznaną świat.

O ósmej słońce zaczęło coraz mocniej przygrzewać. Ostre promienie, odbijając się od pobielonych wapnem murów, raziły oczy. Przecierałem właśnie okulary słoneczne, kiedy usłyszałem znajomy głos starego kolejarza.

— Zmywaj się, Chilijczyku. Zmywaj.

Odwróciłem głowę. Stary przeszedł obok mnie i nie patrząc na mnie, cedził przez zęby:

— Zmywaj się, Chilijczyku, zmywaj się, zanim cię złapią.

Andyjskie słońce wstrzymało godziny, obroty Ziemi, kapryśne obroty wszechświata. Na niebie nie było ani jednej chmurki, ani ptaka, aż nagle istoty totemiczne — jakby usłyszały sekretny sygnał, echo grającej na alarm trąbki, od stuleci rozbrzmiewającej pośród samotności w/górz — zgarnę-

P

ły swoje towary, a niepojęty podmuch strachu, który przetoczył się po peronach, zmiótł gwarne targowisko.

Spojrząwszy w stronę przejścia granicznego, gdzie zaczynały się tory, zobaczyłem oddział żołnierzy wyskakujący z ciężarówki. Na rozkaz oficera zaczęli posuwać się ustawieni w wachlarz, gotowi odeprzeć niespodziewany atak. A ja byłem sam, usadowiony na moim plecaku.

W tym samym momencie usłyszałem gwizd z przeciwnej strony i zobaczyłem starą lokomotywę dieslowską wtaczającą się na stację. Było to ogromne, zielone zwierzę, z żółtą blizną na brzuchu, które wlokło za sobą wagony, posapując jak stary smok. Szare wagony ciągnęły się niczym konwój smutnych ryb, z powtarzającym się po bokach napisem „La Paz”.

Lokomotywa dojechała do mostu i zatrzymała się, gdyż, jak by to powiedział kolejarz, granica zaczynała się od pociągu. Dopadli mnie żołnierze i popchnęli na mur. Tkwiałem tak z szeroko rozstawionymi nogami, z rękoma na pobielonej wapnem ścianie, podczas gdy ręce w rękawiczkach opróżniały mój plecak i obmacywały książki, zdjęcia, pamiątki zbuntowane przeciwko latom strachu. Po chwili kolbami karabinu zmusili mnie, bym położył się twarzą do ziemi, z rękoma na karku.

Po mniej więcej dwóch godzinach żołnierze wrócili do zabawy w

polowanie i ułożyli obok mnie kolejnego posiadacza plecaka. Był to Argentyńczyk, zwolennik Hare Kriszna, który —z wygoloną głową, rozświetloną słońcem, odziany w ekscentryczne pomarańczowe szaty — nie przestawał życzyć żołnierzom wiecznego spokoju.

— Co się dzieje, bracie? — zapytał mnie szeptem.

— Zamknij dziób, bo oni ci go zamkną.

— Ale co zrobiliśmy, bracie?

— Pewnie jedynaków nazwaliśmy braćmi.

Mijały godziny i stopniowo mijało drętwienie kości. Nie ustępowało pragnienie zapalenia papierosa i z tej perspektywy upokorzonego gada wpatrywałem się w koła pociągu, ruchliwe nogi pasażerów, pakunki i walizki, które szybko traciły ciężar i wędrowały w górę. Kiedy po gwizdku koła pociągu poczęły się toczyć, poczułem, że wraz z nimi oddala się

jedyna szansa pozostawienia za sobą tych lat strachu, który spętał mnie, być może, już na zawsze.

— Powiedziałem im prawdę, całą prawdę — skarżył się wyznawca Hare Kriszna.

— Ja też. Zdarzają się ludzie małej wiary.

— Powiedziałem im, że z La Paz polecę do Kalkuty. Pokazałem im bilet, dokumenty, wszystko.

— Mówiłem ci; zdarzają się ludzie małej wiary.

— Poszukuję światła. To próba, bracie.

— Chrzanisz.

— Światło jest w Kalkucie, bracie.

O piątej po południu pozwolono nam wstać z ziemi. Obaj mieliśmy



ramiona i karki spalone od słońca. Po krótkim przesłuchaniu zabrano nam pieniądze i zegarki, a następnie wydano z Boliwii jako „osoby niepożądane”.

Po drugiej stronie mostu czekał na nas stary kolejarz z butelką wody i maścią na oparzenia.

— Mieliście szczęście, chłopcy. Ci dranie mogli zabrać was do koszar i wtedy żegnaj pampo ma. Mieliście szczęście.

— Dojadę do Kalkuty — zapewnił wyznawca Hare Kriszna.

Nie wątpiłem, że to mu się uda, i odchodząc ze starym, żarliwie życzyłem mu, żeby stało się to jak najszybciej, jeśli bowiem ten wygolony i odziany w pomarańczowe szaty wędrowiec dotarłby do Kalkuty, przynajmniej jeden spośród tysięcy osiągnąłby swą zagubioną granicę, tę, która umożliwia nam przejście ku ziemi szczęścia.

Począwszy od 1973 roku, ponad milion Chilijczyków opuściło ten chory, wychudły i długi kraj. Jednych zmuszono do emigracji, inni uciekali przed widmem nędzy, jeszcze inni próbowali po prostu szukać szczęścia na Północy. Ci ostatni mieli jeden tylko cel: Stany Zjednoczone.

Większość przeznaczyła swój skromny dobytek na kupienie biletu autobusowego do Guayaquil lub Quito. Sądzieli, że skoro dotarli tak daleko, wystarczy parę kroków, by znaleźć się na Północy, na ziemi obiecanej.

Po wielu dniach podróży wysiadali z autobusu zmordowani, spoceni, głodni, a potem, gdy zaczęli obmyślać dalsze etapy podróży, odkrywali, że Ameryka Południowa jest ogromna, a na domiar złego szosa panamerykańska na pewnym odcinku znika, pochłonięta przez

kolumbijską dżunglę. Pozostawali pośrodku świata, na równiku, niczym dryfujące statki, bez terażniejszości i bez przyszłości.

Jednym z tych wędrowców był pianista z Ali Kan, istota chuda i blada jak chusta. Nieustannie zaczerwienione oczy i dwa żółte zęby sterczące nad dolną wargą nadawały mu wygląd przygnębionego królika.

Nie mógł powstrzymać łez, ilekroć przypominał sobie Valparaiso, gdzie grał w orkiestrze w American Bar, miejscu uczęszczanym przez bohemę z owego portu, a które wojskowi wykreślili z mapy na mocy trwającego trzynaście lat stanu wyjątkowego.

— To był naprawdę przyzwoity lokal. Żadna dziewczyna nie była tam kurwą, lecz miss. Marynarze zostawiali muzykom bajeczne napiwki, a nie jak w tej świńskiej zagrodzie — skarżył się, przeklinając, że wpadł (do takich miejsc nie przybywa się bowiem, ale się wpada) w Puerto Bolivar. Puerto Bolivar leży nad Pacyfikiem, opodal Machała, na południe od Guayaquil. Morze objawia się bryzą, która czasem odgania wilgotny i parny odór nadciągający z głębi lądu. Widać je i słychać, choć nie czuje się morskiego zapachu.

W Puerto Bolivar ładowane są banany ekwadorskie, transportowane potem na wszystkie kontynenty. W odległości pięciu kilometrów od portowej ostrogi znajduje się wielka jak boisko futbolowe rozpadlina o nieokreślonej głębokości. Tam wrzucane są tony bananów, odrzutów z eksportu, dojrzały bowiem zbyt szybko albo pokryły się podejrzanym nalotem, albo też właściciel plantacji lub firmy przewozowe zapomniały zapłacić jakiś podatek narzucony przez mafie działające w tej branży. Miejsce to nosi nazwę Kadz i nieustannie kipi. Tysiące ton gnijących owoców tworzą gęstą, bulgoczącą masę, przy-

I

prawiającą o mdłości. Wszystkie odpadki lądują w Kadzi, a ów monstrualny wywar wzbogacony jest nie tylko naturalnymi odpadkami: gniją tam również przeciwnicy różnych lokalnych kacyków, z ciałami naszpikowanymi ołowiem lub porąbanymi maczetą. Kadź kipi bez wytchnienia. Buchający odór zagłusza zapach morza i odstrasza nawet kury.

— Wyjedź stąd. Wyjedź natychmiast, zanim twoja wola przesiąknie tym przeklętym odorem i skończysz jak ja, gnijąc tu żywcem — zwykł mawiać pianista na mój widok.

Przyjechałem do Machała, bo chciałem szybko opuścić Ekwador, a jedynym sposobem przyspieszenia podróży jest podjęcie jakiejś pracy. Dlatego też zdecydowałem się zatrudnić na jeden semestr w Uniwersytecie Machała, co zobowiązywało mnie do wyjaśnienia garstce studentów socjologicznych aspektów mediów. Gdy tylko tam dotarłem, natychmiast odczułem potrzebę opuszczenia tego miasta, ale nie miałem grosza przy duszy i musiałem doczekać do wygaśnięcia umowy, aby odebrać pensję. Z powodu istic tropikalnych formalności biurokratycznych nam, zaproszonym wykładowcom, płacono po zakończeniu semestru, do czego także przyłożył rękę dyrektor administracyjny, który zatrzymał połowę forsy.

Aby zaoszczędzić pieniądze, których nie mieliśmy, nasza grupa wykładowców — zwracaliśmy się do siebie per magistrze — złożona z jednego Urugwajczyka, jednego Argen-tyńczyka, dwóch Chilijczyków, Kanadyjczyka i mieszkańca Quito, który z całej duszy nie cierpiał tropiku

— zdecydowała się zamieszkać w jednym pokoju w kolorze skandalicznej zieleni, o kalaminiowym suficie i z widokiem na dżunglę. Rozwiesiliśmy sześć hamaków i popołudniami bujaliśmy się tam, paliliśmy i rozprawialiśmy o tym, co zrobimy, kiedy nam zapłacą, opróżnialiśmy skrzynki piwa i spoglądaliśmy na łopatki wentylatora, daremnie wirujące nad naszymi głowami.

W Machała nie było wiele do oglądania, a tym bardziej do robienia.

Miejscowy ksiądz, odpowiedzialny za cenzurowanie filmów wyświetlanych w kinie na wolnym powietrzu, nie odznaczał się zbyt dobrym gustem, toteż, szukając wytchnienia w parne noce, przesycone odorem z Kadzi,

mogliśmy tylko odwiedzać kasyna albo burdele w Puerto Bolivar. Do kasyna chadzaliśmy dla klimatyzacji, a także dlatego, że zawsze znalazł się jakiś nasz student, który w kilka minut przegrywał sumy, jakie my otrzymywaliśmy za semestr krwawicy.

— Stawiam kolejkę dla teachers — oświadczał student z oczyma wlepionymi w kulkę ruletki.

My dziękowaliśmy i życzyliśmy mu szczęścia.

Z przyjemnością odwiedzaliśmy burdele, szczególnie lokal Ali Kan, ogromną, drewnianą budowlę o kalaminiowym dachu, zarządzany przez dorie Evaristę, sześćdziesięcioletnią tęgą Chilijkę, która pociła się i wypłakiwała na naszych ramionach, gdy ogarniała ją nostalgia za Santiago lub Buenos Aires, gdzie zdobywała pierwsze ostrogi w swej profesji.

Zaproszenie do tanga donii Evaristy oznaczało butelkę whisky i karton papierosów na koszt firmy. Wszyscy znośnie umieliśmy tańczyć tango, z wyjątkiem Kanadyjczyka, który zawsze zajęty był notowaniem tego, co

widział i słyszał, z myślą o napisaniu powieści lepszej, według niego, od Stu lat samotności. Tęga matrona zapłonęła uczuciem do Kanadyjczyka i zawsze, gdy robił notatki, energicznie uciszała dziewczęta.

W Ali Kan pracowało dwadzieścia kobiet, które obsługiwały klientów w maleńkich pokoikach, na materacach leżących bezpośrednio na podłodze. Niekiedy, gdy jakiś jurny marynarz w miłosnym szale wstrząsał całym budynkiem osadzonym na palach, goście w salonie przyjmowali to gorącą owacją. Tak mijały noce. Noce Ali Kana.

Następnego dnia zaczynała się rutyna tropiku: pobudka w smrodzie Kadzi, wyskoczenie z hamaka, dopasowanie kręgosłupa do pozycji pionowej, wytrzepanie z butów karaluchów i skorpionów, długi prysznic, wyjście w lepkie wyziewy ulicy, wypicie „małej czarnej”, wspaniałej, gorzkiej kawy na rogu, przejście pięciu przecznic i na uniwersytecie kolejny prysznic przed rozpoczęciem zajęć.

Na moje wykłady z socjologii mediów zapisało się piętnastu studentów, ale miałem okazję poznać jedynie trzech i ciągle zastanawiałem się, po co im to było. Jeden z nich, mając dwadzieścia lat, był już ekspertem od chorób wenerycznych;

I

przeszedł je wszystkie i był z tego powodu bardzo dumny. Drugi, syn magnata bananowego, poświęcał poranki na wnikliwe studiowanie katalogów samochodów sportowych. Obsesyjnie pragnął dostać porsche. Fakt, że w okolicy niewiele było dróg, nie stanowił dla niego problemu. A co do trzeciego, no cóż, nigdy nie udało mi się sprawdzić, czy umie czytać.

Po trzech miesiącach zmuszony byłem przyznać rację pianiście z Ali

Kana. Musiałem opuścić to przeklęte miejsce.

Mieszkańcy Machała patrzyli na nas podejrzliwie. Sześciu typów, z czego pięciu było cudzoziemcami; wszyscy żyliśmy na kredyt i chadzaliśmy do burdelu. Nie przepadali za nami, ale i nie zatruli nam życia. W stosunku do nas kierowali się swoistą akceptacją, opartą na odrazie i nieufności, co trwało aż do dnia, kiedy jedna z dziewczyn z Ali Kana ze łzami w oczach powiedziała nam, że ksiądz zabronił jej wstępu do kina, w związku z czym ona i dwie koleżanki po fachu nie mogły zobaczyć Kasi Ballou.

— A tak nam się podoba sukinkot, ten cały Lee Marvin —  
dodała, pochlipując.

Wszawi, ale zawsze dżentelmeni. Nasza szóstka muszkie-terów niezwłocznie udała się do księdza, aby przemówić mu do rozumu.

— Kobiety, które źle się prowadzą, nie mają wstępu do kina — grzmiał kapłan.

— Kino to kultura. Niewykluczone, że w jakimś filmie odnajdą wartości moralne, które odmienia ich życie. Niech ojciec nie zapomina, że sam wybiera filmy — perorował Argentyńczyk.

— Nie przeczę. Ale powinny przychodzić w towarzystwie osób o nieposzlakowanej opinii.

— Na przykład profesorów uniwersytetu? — dopytywał się Kanadyjczyk.

— Panów? Czyż narazilibyście na szwank swe kariery akademickie, przychodząc do kina z kurwami? Nie rozśmieszajcie mnie.

Od tego dnia w każdy piątek odwiedzaliśmy kino wraz z dziewczętami,

które chciały zobaczyć film. Ksiądz stał w progu, patrząc na nas nienawistnym wzrokiem, ale nie mógł

I

zabronić wejścia towarzyszącym nam osobom. Spełniłszy dżentelmeński obowiązek, ale mieszkańcy Machała byli odmiennego zdania. Miejscowi wykładowcy przestali zapraszać nas do domu, policja popatrywała na nas z kpiącym grymasem i zaczęły krążyć pogłoski, że połączyliśmy zawód pedagoga i alfonsa. Nadszedł czas, by opuścić to miejsce. Pytanie, jak to zrobić. Do końca semestru było jeszcze daleko.

Nadzieja na odmianę losu trafiła mi się pewnego wieczoru w kasynie.

Rozkoszowałem się tam ożywczym chłodem, który wywoływał kichanie u graczy, a machalańskim damom pozwalał błyszczeć w pelisach i futrzanych szalach. Byłem sam. Moi koledzy udali się do Ali Kana, ponieważ poprzedniej nocy wydarzył się tam cud: Kanadyjczyk po wlaniu w siebie pół butelki rumu zdecydował się w końcu poprosić grubą do tańca. Tango, salsa, merengue, walczyki kreolskie, pasillo, sanjuanito — tańczył wszystko. Kanadyjczyk kręcił się jak fryga, po czym stwierdził, że jego powieść trafił szlag, i zaczął rozdawać klientom kartki brudnopisu.

Chciał odtąd żyć intensywnie, wraz ze swą wielką miłością — oświadczył, obejmując czule donę Evaristę, która nie posiadała się ze szczęścia. Gruba zaprosiła nas na kolację zaręczynową. Wybierałem się, co oczywiste, i ja, ale najpierw chciałem poczuć ów cudowny chłód, który sprawia, że wychodziło się z kasyna z uczuciem błogości. W tym właśnie momencie jakaś ręka potrząsnęła mnie za ramię.

Był to osobnik znany mi z widzenia. Wiedziałem, że zajmuje się transportem bananów, jest właścicielem ciężarówek i statków. Mówił

powoli i melodyjnie, w sposób typowy dla prowincji Guayaquil.

— Przepraszam pana, teacher. Wierzy pan w rachunek prawdopodobieństwa?

— Coś w tym jest.

— No bo postawiłem sześć razy z rzędu na zero i nie wyszło. Myśli pan, że za następnym razem wyjdzie?

— Żeby to sprawdzić, trzeba zaryzykować.

— Lubię facetów z jajami — powiedział, rzucając na stół pęk kluczyków.

— Chrysler z tego roku. Kosztował mnie dwadzieścia tysięcy dolarów.

I

I

Krupier przeprosił na chwilę i poszedł do sąsiedniego pomieszczenia, po czym wrócił do gry.

— Dziesięć tysięcy i pięć procent prowizji dla kasyna.

— Piętnaście tysięcy i podwajam prowizję.

— Zakład przyjęty. Zaczynajcie grę, panowie.

Kulka poszła w ruch. Mieszkaniec Guayaquil śledził obojętnym wzrokiem jej wirowanie. Ręce wsparł o krawędzie stołu, nie okazując żadnych oznak podniecenia. To był prawdziwy gracz. Jego znużona twarz świadczyła o tym, że chce przegrać. Kiedy kulka przestała krążyć, stając na siódemce, wzruszył tylko ramionami.

— Spieprzyłem, teacher. Ale przynajmniej pozbyliśmy się wątpliwości.

— Przykro mi.

— Tak ze szczęściem bywa. Chodźmy do baru. Stawiam



panu drinka.

Przy kontuarze zaczęliśmy rozmowę. On chciał dowiedzieć się czegoś więcej o mnie i słuchał w milczeniu. Potem odezwał się w taki sposób, jakby negocjował z kontrahentem cenę bananów.

— Teacher, spada mi pan z nieba. Na kilka miesięcy zatrzyma się pan u mnie, w Rocafuerte. Mam syna, który niedługo kończy szkołę. Chcę, żeby został adwokatem. Pan udzieli mu lekcji i przygotuje do egzaminu na studia, a ja rozwiążę wszystkie pana kłopoty finansowe. Zgoda?

— Na ekwadorskie uniwersytety dostaje się każdy, kto tylko chce.

— Mój syn będzie studiował w USA. Tam są egzaminy wstępne i inne takie głupoty. Dwa tysiące dolarów miesięcznie? Albo zrobmy praktyczniej, teacher. tu ma pan mój czek in blanco. Jutro go pan zrealizuje. Niech pan weźmie tysiąc, dwa tysiące dolarów, ile pan potrzebuje. Idzie o to, żeby w weekend był pan w moim domu. A teraz niech pan idzie, teacher. Kiedy przegrywam, lubię być sam.

Dotarłem do Ali Kan po północy. Doña Evarista przygotowała całe tuziny empanadas, które smakowały lepiej od rosyjskiego kawioru na tym kulinarnym pustkowiu, gdzie jadało się wyłącznie ryż i smażone banany.

Tej nocy świętowaliśmy

na całego. Doña Evarista rozpoznała podpis na czeku i powiedziała, że chodzi o jednego z najbogatszych ludzi w okolicy. Skończyły się moje kłopoty i znów szedłem do przodu.

Pożarliśmy empanadas, opróżniliśmy niezliczone butelki chilijskiego wina, a po chóralnym odśpiewaniu kilku tang, które wzbudziły u grubej

potoki łez, zaskoczył nas Kanadyjczyk swoją przemową, wygłoszoną na stole:

— Towarzysze, pragnę oświadczyć, że ta oto kobieta jest cudowna i od jutra będę z nią żył. Zostanę man tego przybytku, a wy, towarzysze, bracia moi, od tej chwili będziecie jak nasi synowie. Niech żyją skurwysyny!

Następnego dnia udałem się do banku, pobrałem znaczną kwotę, spłaciłem długi, rozdzieliłem między przyjaciół kilka banknotów i z plecakiem zarzuconym na ramię poszedłem na dworzec autobusowy. Tam czekał na mnie pianista, długi, chudy i blady jak chusta.

— Nie masz pojęcia, chłopcze, jak się cieszę. Powodzenia — powiedział, ściskając mnie za rękę.

Nim wsiadłem do autobusu, odetchnąłem głęboko i wtłoczyłem do płuc zgniły fetor idący od Kadzi. Z megafonów umieszczonych na placu usłyszałem głos księdza, grożącego ekskomuniką tym wszystkim, którzy pójdą na film Sprawa Kramerów, który jest pochwałą rozwodów.

— Tego wieczoru w kinie będą tłumy — mruknął pianista. Wiele lat później, a było to bardzo daleko od Ekwadoru,

w jednym z pism literackich z Quebecu znalazłem nazwisko

Kanadyjczyka z Machała. Opublikował opowiadanie zatytułowane: W tropikach wszystkie koty są bure. Było to piękne opowiadanie, w którym opisał, jak przez jakiś czas wraz z pięcioma osobnikami mieszkał w kraju ogarniętym upiornym fetorem. To było dobre opowiadanie, jak dobre były owe dni, kiedy wyczekiwało się na niewypłaconą pensję, kiedy wysiadywało się pod łopatkami wentylatora, który nie wywoływał najmniejszego drgania powietrza, dni dzielone z mężczyznami i kobietami wielkiego serca, którzy ofiarowali mi najlepszą część samych siebie.

Tego dnia wstałem przed świtem, spakowałem swój niewielki dobytek i pożegnałem hacjendę La Conquistada. To było piękne miejsce; zielona oaza pośrodku jałowego płaskowyżu, a ja czułem się głupio, czułem się upokorzony, że muszę wyjechać stąd pospiesznie i po kryjomu jak złodziej. Przemyślałem to jednak ostatniej nocy i, jak zauważył Lichtenstein, trzeba być konsekwentnym wobec decyzji, jakie podejmuje się po dobrze przespanej nocy.

Kucharka widziała, jak wychodzę z domu, ale udawała, że patrzy w inną stronę. Kiedy dotarłem do bramy, stwierdziłem, że jest zamknięta na kłódkę i gruby łańcuch. Szczęśliwie mur nie był zbyt wysoki i szybko go sforsowałem.

Przeszedłem około stu metrów, gdy na poboczu drogi zatrzymała się jakaś ciężarówka.

— Dokąd pan idzie? — zapytał jeden z pasażerów w szoferce.

— Do Barranco. Tam chcę złapać powietrzną taksówkę.

— Jeśli nie przeszkadza panu towarzystwo, możemy pana zabrać do przyczepy. Jedziemy aż do Ibarra — powiedział kierowca.

— To świetnie. Dziękuję — odpowiedziałem i wskoczyłem na tył przyczepy.

Ciężarówka wiozła ogromne wieprze, które przyjęły mnie jak swego.

Przysiadłem w kącie na plecaku i pomyślałem, że byłem o krok od wielkiego skoku i dotarcia do Europy, ale życie raz jeszcze poplątało moje drogi. Żeby się pocieszyć, kontemplowałem panoramę wzgórz i wąwozów w oślepiającym blasku poranka na płaskowyżu.

Nagle zorientowałem się, że wieprze nie spuszczaają ze mnie oka. Ktoś, już nie pamiętam kto, pisał, że świnie mają perwersyjne spojrzenie. Ale to nie było to. Przyglądające mi się wieprze miały niewinne, zastraszone ślepka. Być może przeczuwały, że to ostatnia ich podróż.

Coś nas łączy i one chyba to zauważyły. Ale mnie udało się uciec na czas. Wy, towarzysze, będziecie przerobieni na kaszanke. Niech to diabli. Takie jest życie.

.ix

Trzy tygodnie wcześniej byłem w Ambato, mieście kwiatów i bez wątpienia najpiękniejszych w Ekwadorze kobiet. Wracalem z Coca w Amazonii z zamiarem napisania reportażu o szybach naftowych. Jak zwykle miałem mało pieniędzy, a jedno z amerykańskich pism zaproponowało mi całkiem sporą sumę. W Ambato polecono mi skontaktować się z pewnym inżynierem, który swoim dżipem miał zabrać mnie do Cuenca, gdzie czekała awionetka Texaco.

Siedziałem zatem tam, na tarasie kawiarni, zachwycony oglądaniem dziewczyn, przynoszących chlube temu miastu. Przypadkiem, żeby dać wytchnienie oczom, zauroczonym tym ogromem piękności, spojrzałem na gazetę. Było tam dziwacznie sformułowane ogłoszenie.

Potrzebny młody, wykształcony człowiek, z dobrymi referencjami i z łatwością pisania, do współpracy przy redagowaniu wspomnień wybitnej osobistości publicznej. Preferowani będą kandydaci, którzy mają hiszpańskich przodków. Zainteresowani proszeni są o kontakt telefoniczny...

Zaintrygowany, zadzwoniłem pod wskazany numer. Telefon odebrała kobieta o władczym głosie, która nie odpowiedziała na żadne z pytań,

dotyczących tożsamości wybitnej osobistości publicznej, natomiast poddała mnie skrupulatnemu przesłuchaniu, wypyując zwłaszcza o hiszpańskich przodków. W końcu oświadczyła ku mojemu zdumieniu, że jestem przyjęty do pracy, a wspomniane mimochodem wynagrodzenie kazało mi od razu puścić w niepamięć reportaż o szybach naftowych w Coca. Zanim odłożyła słuchawkę, udzieliła mi szczegółowych wyjaśnień, jak dojechać do ha-cjendy, odległej około osiemdziesięciu kilometrów od Ambato, i dodała, że oczekuje mnie nazajutrz.

W dwadzieścia cztery godziny później dzwoniłem do bramy La Conquistada, okazałego domostwa w stylu kolonialnym, otoczonego ogrodami. W sieni wisiało kilkadziesiąt klatek z egzotycznymi ptakami, a w progu powitała mnie kobieta, z którą rozmawiałem przez telefon.

— Należą do mojej córki. Uwielbia ptaki. Mam nadzieję, że ich śpiew nie będzie przeszkadzał panu rano. Szczególnie hałaśliwe są tukany.

!i

— Bynajmniej. To najlepszy sposób, żeby się obudzić.

— Zapraszani do środka. Wskażę pański pokój.

Naprzeciwko drzwi znajdował się obraz, przedstawiający w całej okazałości postać, upozowaną na Cortesa, Al-magra albo innego konkwistadora. Rycerz wspierał dłonie na szpadzie.

— Adelantado don Pedro de Sarmiento y Figueroa. To nasz przodek z pierwszej linii. Nasza chluba — powiedziała kobieta.

— Krople mojej hiszpańskiej krwi nie są tak szlachetnego pochodzenia — stwierdziłem.

— Każda hiszpańska krew jest szlachetna — odpowiedziała.

Przydzielony mi pokój był skromnie umeblowany. Było tam łóżko, stolik nocny i szafa, a każdy z tych sprzętów puszył się swą antycznością. W kącie stał cudaczny mebel, który w pierwszej chwili wydał mi się prototypem wieszaka na ubrania, ale gdy zatrzymałem wzrok na krucyfiksie, domyśliłem się, że jest to klęcznik.

— Proszę się rozgościć. Za pół godziny oczekujemy pana w jadalni.

Podczas obiadu stwierdziłem, że niewiele zostało potomków adelantado, a wraz z obecnymi ród wygaśnie.

Kobieta, która okazała się wdową, żelazną ręką zarządzała hacjendą, znajdując nieskrywane zadowolenie w upokarzaniu indiańskiej służby i parobków. Jej córka Aparicia, około czterdziestki, poruszała się niezgrabnie, jakby tłumaczyła się przed meblami ze swego metra dziewięćdziesiąt i bardzo zwalistego, acz kształtnego ciała. Od pierwszej chwili sprawiała na mnie wrażenie, jakby zeszła z jakiegoś barokowego płótna. Mistrzowie baroku mieli zwyczaj malować pulchne damy; • jeden z nich wziął za duży rozmach i namalował Aparicię, kobietona o bujnych kształtach, a żeby nie zmieniać stylu, postanowił usunąć ją z obrazu. Jej twarz byłaby nawet urodziwa, gdyby nie szpecił jej gorzki, jakby gniewny grymas, odziedziczony po matce. Aparicia trawiła dni na haftowaniu i choć przyznaję, że nie znoszę zoologicznych porównań, zbliżając się do niej, wyczuwałem charakterystyczną woń kwaśnego mleka, jaką wydzielają zazdrosne samice. Przywódcą ogniska domowego była wybitna osobistość publiczna, ojciec wdowy i wiekowy bohater walk politycznych w latach dwudziestych. Tytułowano go po

marąezowsku pułkownikiem. Żywił się maniokową kaszką słodzoną miodem palmowym. Był także stary ksiądz, ojciec Justiniano, który podskakiwał jak kogut i wszystkimi porami skóry wydzielał zapach alkoholu.

Życie w La Conquistada podporządkowane było ustalonej rutynie. O szóstej rano musiałem brać udział we mszy w kaplicy rodzinnej. Po śniadaniu rozmawiałem przez kilka godzin ze starym pułkownikiem i z księdzem. Potem celebrowano obiad, poprzedzony modlitwą dziękczynną. Popołudniami, po sjeście, piłem kawę z oboma staruszkami, aż do różańca. Po kolacji przechodziliśmy do salonu, gdzie Aparicia haftowała, starcy omawiali partyjki domina, a wdowa opowiadała mi o czynach adelantado. Pewnego poranka, w tydzień po przyjeździe, wychodząc z domu, zobaczyłem Aparicię rozmawiającą z ptakami. Dostrzegła mnie, splonęła rumieńcem i wzburzona zaczęła po-sapywać. Musiałem widać zaskoczyć ją w wielce intymnych okolicznościach, toteż, żeby wybrnąć z sytuacji, zdobyłem się na przyjazną uwagę.

— Ma pani piękne ptaki. Jak ten się nazywa? — zapytałem, wskazując pierwszą z brzegu klatkę.

— Strojnoczub — odpowiedziała, odwracając wzrok.

— Można go zachęcić do śpiewania?

— Lepiej, żeby ten ptak nie śpiewał — powiedziała i odeszła, pozostawiając w progu woń kwaśnego mleka.

Stałem dłuższą chwilę przed klatką. Ptak mierzył prawie pół metra, jego czarne, błyszczące pióra były niemal granatowe. Na łebku miał zielonoszary pióropusz, a na piersi pierzasty wachlarz jak u pawia.

Podsunałem rękę, a ptak, być może spłoszony, nadał wachlarz niczym

ropucha i wydał z siebie dźwięk, niezbyt przystający do jego subtelnej urody. Głos miał głuchy i chrapliwy, przypominający porykiwanie wołów przed nadchodzącą burzą.

Podeszła służąca, udając, że odkurza balustradę.

— Niech szanowny pan nie namawia tego ptaka do śpiewu. To bardzo nieszczęśliwy ptak. Zawsze gdy śpiewa, tam w dżungli inne ptaszki odlatują i zostawiają go samego. Biedaczek. To on najbardziej kocha senioritę Aparicię.

Popołudniami wdowa uśmiechała się z zadowoleniem, widząc, jak przeglądam notatki, ale dla mnie to wszystko było dobrze opłacaną stratą czasu. Wspomnienia wybitnej osobistości publicznej blakły z powodu stwardnienia tętnic i cenzury księdza. Nieszczęsny starzec nic już nie miał z liberała, a epizody z jego własnego życia plątały mu się niekiedy ze zdarzeniami, o których czytał w książkach. Nic zatem dziwnego, że przyczyn zabójstwa Eloya Alf ara\* dopatrywał się w wojnach napoleońskich.

Po piętnastu dniach powiedziałem sobie, że pobyt w La Conquistada to moje pierwsze od wielu lat wakacje. Jadłem dobrze, spałem jak nigdy, oddychałem krystalicznym powietrzem, piłem wyborne hiszpańskie wina, wdowa wprowadzała mnie w tajniki dochodowej hodowli, a Aparicia dbała o to, by moje ubrania były zawsze czyste i nienagannie uprasowane. Czasami, gdy czułem, jak burzy się we mnie krew od jej zapachu zazdrosnej samicy, dochodziłem do przekonania, że po wlaniu w siebie kilku butelek mógłbym nawet odwiedzić hafciarkę w jej łożnicy.

Każdego ranka podczas mszy Aparicia siadała przy mnie. Nigdy nie udało mi się dosłyszeć, co mówi, gdy klęczała przed rzeźbą Madonny dłuta



Capiscary, która była chlubą rodziny. Nigdy nie dotarły do mnie żadne słowa, ale z gestów mogłem się domyślić, że ta kobieta bynajmniej nie modli się, lecz złorzeczy, pomstuje, kto wie, czy nie bluźni, z powodu nieszczęścia, jakim była jej postura i otyłość.

Podczas owych dwóch tygodni zappełniłem kilka zeszytów wspomnieniami pułkownika i uwagami księdza. Z nich wszystkich stary kapłan interesował mnie najbardziej. Każdego popołudnia, w porze różańca, miał już w głowie kilka butelek canii i wychodziły z niego wszystkie urazy wobec mieszkań-

\* Eloy Alfaro (1867-1912) — prezydent Ekwadoru, uwięziony, a następnie zlinczowany przez tłum (przyp. red.)-

ców Amazonii, których nazywał dzikusami, heretykami, de-generatami i obarczał odpowiedzialnością za własny upadek. Pijacka postać księdza urzekła mnie coraz bardziej, zwłaszcza po usłyszeniu historii, opowiedzianej przez kucharkę, jak to w młodości był misjonarzem wśród Indian Auca.

— Chciał być świętym, ale tubylcze kobiety wysały mu mózg i dziewictwo. A że wszystkie one są powabne i chodzą nago, więc zapomniał szybko o celibacie i, jak mówią, miał w dżungli pięcioro dzieci. Potem wpadł w obłąd na myśl

O tym, że te nieszczęsne bękarty biegają tam goło, jedzą surowe mięso i skaczą z drzewa na drzewo jak małpy.

Próbowałem księdza pociągnąć za język, ale pijaczyna był małomówny. Kiedy już cana tryskała mu uszami i nie mógł ustać na nogach, wdowa i Aparicia zanosili go do pokoju

1 układały w łóżku. W chwilę później były z powrotem, bagatelizując

notoryczne opilstwo jego eminencji; wdowa częstowała mnie koniakiem i rozmawialiśmy o wspomnieniach pułkownika, o tym, kiedy je opracuję, o radości, jaką sprawia mu ta publikacja.

W wieczór poprzedzający mój niezbyt honorowy wyjazd z La Conquistada wdowa zaproponowała mi kolejną pracę; chodziło tym razem o napisanie biografii adelantado. Jej propozycja wywołała we mnie dreszcz, pociągała bowiem za sobą podróż do Europy.

— Oczywiście będzie pan musiał udać się do Hiszpanii, żeby zebrać dokumentację w Archiwum Indii w Sewilli. Ale o tym porozmawiamy wtedy, gdy wspomnienia pułkownika ujrzą światło dzienne.

Owej nocy, im więcej przewracałem się na łóżku, tym bardziej nie mogłem zmrużyć oka. Ta rodzina, z całym swym anachronizmem i głupotą, z którą się obnosiła, była dla mnie złotą żyłą. Nawet o tym nie marząc, złapałem Pana Boga za nogi. Pierwszy raz w życiu traktowano mnie dobrze, doceniano i płacono za to, co zawsze pragnąłem robić: pisać. A na dodatek — och, co za szczęście! — wysyłano mnie do Europy.

Opuściłem salon i poszedłem do kuchni, żeby napić się mleka. Obok kucharki siedział jakiś mężczyzna, którego wi-

53

I

działem wcześniej, kiedy ujeżdżał konie. Cały ubrany był na biało, z czerwoną chustą obwiązaną wokół szyi.

Podczas gdy kucharka podgrzewała ronderek z mlekiem, mężczyzna mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, uśmiechając się przy tym nieco ironicznie.

— Zobaczyć, żeby uwierzyć — powiedział, chichocząc.

— Taki jestem zabawny?

— Żeby nie skłamać, nie tylko to. Frajer z pana, ot co.

— No, opanuj się, bracie. Nie znamy się, a pan mi ubliża. Można wiedzieć dlaczego?

— Nic nie mów, Jose. Napytasz sobie biedy — doradziła kucharka.

— Psiakrew! Ktoś musi mu to powiedzieć.

— Co powiedzieć?

Mężczyzna wstał, podszedł do drzwi i od progu dał mi znak, żebym poszedł za nim. Zdumiony spojrzałem na kucharkę.

— Niech szanowny pan z nim idzie. Nie wie pan, co się dzieje.

Wyszliśmy w chłodną noc płaskowyzu. Gestem pokazał mi drogę do stajni. Gdy tam dotarliśmy, wskazał mi miejsce na skrzyni i podał butelkę.

— Łyknij pan. Przyda się panu.

Wypiłem. Poczulem, jak skręcają mi się wszystkie kiszki. To była „czyściocha”, najmocniejszy alkohol, jaki wychodzi z tło-czarni.

Krztusiłem się, a mężczyzna klepał mnie po plecach.

— Wybacz, przyjacielu, że nazwałem pana frajerem. Ale to prawda.

— W porządku. Ma pan papierosa, żeby zabić smak tej trucizny?

Z kieszeni koszuli wyciągnął dwa długie papierosy. Podsunął mi jednego i podając ogień, spojrzał mi głęboko w oczy tak, jak patrzy się na kretyna.

— No, wykrztuś pan to z siebie.

— Tuczą pana, przyjacielu. Jak wieprzka.

— Nic nie rozumiem.

— Ach, Boże, zlituj się nad frajerami! Tuczą pana, przyjacielu, ale nie na rzeź. Chcą pana ożenić.

— Co pan wygaduje?

— Chcą pana ożenić. Wdowa już zdecydowała. Przeznaczyła pana dla Wielgachnej. Kawaler, przyjezdny, nikogo tu nie zna, nie ma rodziny i, niech się pan nie obrazi, jak każdy literat buja pan pewnie w obłokach, więc nigdy nie będzie pan wtykał nosa w interesy wdowy. Pan jest wymarzonym kandydatem na męża.

— Pan oszalał. Skąd panu przyszły do głowy podobne idiotyzmy?

— Od razu widać, że pan nie jest stąd, inaczej już dawno byś pan skapował, co jest grane. Rusz pan głową: w czasie mszy sadzają pana koło Wielgachnej, przy stole sadzają pana przy Wielgachnej, do różańca znów obok Wielgachnej. A kto panu pierze i prasuje? Wielgachna. A kto panu ściele łóżko i przynosi kwiaty do pokoju? Wielgachna. A widział pan, co ona haftuje? Prześcieradła, przyjacielu. Ślubne prześcieradła. Żadna miejscowa kobieta tego nie robi przy mężczyźnie; chyba że jest to jej narzeczony.

Byłem tak zdumiony, że nie mogłem wykrztusić słowa. Dym z papierosa palił mnie w gardle, więc sięgnąłem po butelkę. Tym razem trunek nie wydał mi się już tak mocny; zaczynałem dostrzegać pewien sens w tym wszystkim.

— Przypuśćmy, że tak jest. Po co mi to pan opowiada?

— Bo mi pana żal, przyjacielu. Widzi pan; wielu tutejszych mężczyzn gotowych byłoby ożenić się z tym dziwadłem, dla hacjendy, rzecz jasna. Ale mamy swój honor i żaden z nas nie zrezygnuje z własnego nazwiska. Nie rozumie pan? Tuczą pana, żebyś pan był jak ten byk rozplodowy, co

uratuje ród Sarmiento y Figueroa. Wdowa to stara wariatka, która ubzdurała sobie, jak jej ojciec i ksiądz, że Wielgachnej urosnie brzuch i urodzi jednego albo kilku chłopów, co przedłużą ród adelantado, czy też jak go tam nazywają, tego zasranego Hiszpana. Stara jest wdową, to pewne, ale zanim owdowiała, przez całe życie przeklinała ojca Aparicii, że ją porzucił, i nie bez racji. Kiedy urodziła się Aparicia, ten stary skurwieli pułkownik rozkazał wy-chłostać ich obydwójce za to, że spółdzili dziewczynkę, a nie wyczekiwanego chłopca. Rozumie pan? A jak kto zapyta, czemu wdowa nie dała się zapłodnić przez jakiegoś innego męż-

55

I

I

I

czynę, to odpowiedź jest prosta: w żyłach tego, co przedłuży ród Sarmiento y Figueroa, nie może płynąć indiańska krew. Rozumie pan czy nie?

— Mam odrobinę krwi Indian z mojego kraju—bąknąłem.

— Lepsze jelenie muszą być z tych waszych Indian. Bo my tutaj dobrze wiemy, po jakiej ziemi chodzimy. Ożenią pana, przyjacielu. I nie chciałbym być w pańskiej skórze, jeśli wkrótce Wielgachnej nie spuchnie brzuch, no i nie daj Boże, żeby to była dziewczucha.

— A co będzie, jak odmówię?

— Przyjacielu, nikt nie chciałby znaleźć się na miejscu cudzoziemca, co odważył się znieważać dziedziców La Con-quistada.

O zmierzchu kierowcy ciężarówki wysadzili mnie w Ibar-ra. Gdy tylko się pożegnałem z nimi i z wieprzami, zadzwoniłem do Quito, do znajomego

adwokata, żeby zapytać go, co myśli o tej sprawie.

— Wpakowałaś się w niezłe tarapaty. Ci paranoicy są nieprzewidywalni, jeśli ktoś urazi ich dumę.

— To absurd. To kompletny absurd.

— W Ekwadorze wszystko jest tak absurdalne, że nikt już niczemu się nie dziwi. Rodzina Sarmiento y Figueroa należy do czterdziestu rodzin w tym kraju, które robią, co chcą. Ulotnij się natychmiast, i to na dłużej.

Poszedłem za radą przyjaciela. Pojechałem do Bogoty, a stamtąd do Cartagena de Indias. Nie wiem, czy wdowa podjęła jakieś działania przeciwko mnie, i zapomniałem o całej tej historii, aż do momentu, gdy po kilku latach los znów zawiódł mnie do Ekwadoru. Na targu w Otavalo spotkałem kucharkę z La Conquistada.

Pocziwa kobieta już nie pracowała w hacjendzie i teraz zajmowała się sprzedażą pieczonych świnek morskich. Usadziła mnie na wiklinowym stołku i obdarowawszy najtłustszym ze swych smakowitych gryzoni, opowiedziała mi zakończenie historii.

— Kiedy tamci, wdowa i dwóch starych, zorientowali się, że pan uciekł, spuścili Aparicii straszne lanie. Tłukli ją i wrzeszczeli, dlaczego przez te dwa tygodnie nie weszła panu do łóżka. W końcu biedaczka, chociaż obita i posiniaczona, miała dosyć sił, żeby pozabijać wszystkie ptaki w klatkach. Jednego zostawiła. Tego czarnego z dżungli, co porykiwał jak krowa. Żał mi było panienki, ale cieszyłam się, że panu się udało uciec.

— A co się stało potem?

— Po czterech czy pięciu miesiącach zjawił się następny młody człowiek, żeby spisać wspomnienia pułkownika. Ten mówił jakoś dziwnie.

Mówił coś jak „obrigado”, zawsze jak mu coś podawałam.

— Brazylijczyk. Nieważne. Niech pani mówi dalej.

— Ożenili go z panienką. W końcu dopięli swego. —j 9

— I wszystko. Już jest chłopiec w hacjendzie. Wie pan, jak się nazywa?

Pedrito de Sarmiento y Figueroa — powiedziała kucharka, uśmiechając się tak cudownie, jak potrafią to tylko kobiety z Otavalo.

I

## CZEŚĆ TRZECIA

Zapiski z podróży powrotnej

— No cóż, tu się znalazłem — mówię do siebie szeptem i jakaś mewa przekrzywia łepkę, przyglądając mi się przez chwilę. „Jeszcze jeden wariat” — myśli pewnie mewa; faktycznie, jestem sam, wokół morze, sam w Chonchi, w porcie na wielkiej wyspie Chiloe, daleko na południe od świata.

Czekam, aż będzie można wejść na pokład „El Colono”, promu w kolorze czerwono-białym, który po kilkudziesięciu latach rejsów po Bałtyku, Morzu Śródziemnym i Adriatyku teraz pływa po zimnych, głębokich i nieprzewidywalnych wodach południowych.

„El Colono” po dwudziestoczterogodzinnym rejsie, choć w rzeczywistości może to trwać trzydzieści i więcej godzin, wszystko zależy od kaprysów morza i wiatru, wysadzi mnie na brzeg pięćset mil dalej na południe, w sercu chilijskiej Patagonii.

Kiedy tak czekam, rozmyślam o dwóch starych gringos, którzy pociągając za kruche nitki losu, sprawili, że ja i Bruce Chatwin spotkaliśmy się pewnego zimowego dnia w południe, na tarasie Cafe Zurich w Barcelonie. Anglik i Chilijczyk. A na dodatek dwóch osobników niezbyt

przywiązanych uczuciowo do słowa „ojczyzna”. Anglik, obieżyświat, jakżeby inaczej, i Chilijczyk, wypędzony z tych samych powodów. Do diabła! Ktoś powinien zakazać tego typu spotkań, a przynajmniej sprawić, by nie odbywały się w obecności nieletnich.

Spotkanie, zorganizowane przez hiszpańskiego wydawcę Bruce'a, było przewidziane na dwunastą w południe; przyszedłem punktualnie co do minuty. Anglik przyszedł pierwszy; siedział z piwem w ręku, zaczytany w jednej z tych perwersyjnych historyjek w „El Vibora”. Żeby zwrócić na siebie uwagę, zastukałem w stolik.

Anglik uniósł głowę i zanim się odezwał, łyknął piwa.

— Punktualnego Latynosa jeszcze strawię, ale facet, który spędził kilka lat w Niemczech i przychodzi na pierwsze spotkanie bez kwiatów, jest po prostu nie do przyjęcia.

— Jeśli sobie życzysz, wracam z kwiatami za kwadrans — odpowiedziałem.

Gestem wskazał mi krzesło. Usiadłem, zapaliłem papierosa i bez słowa przyglądaliśmy się sobie. On wiedział, że ja wiem o dwóch gringos, i ja wiedziałem, że on wie o dwóch gringos.

— Pochodzisz z Patagonii? — zapytał, przerywając milczenie.

— Nie, urodziłem się na Północy.

— To lepiej. Nawet w ćwierci nie można wierzyć w to, co mówią Patagończycy. To najwięksi w świecie kłamcy — zauważył, sięgając po piwo. Poczulem się zmuszony odeprzeć cios.

— Nauczyli się kłamać od Anglików. Znasz kłamstwa, jakie opowiedział



Fitzroy biednemu Jimmy'emu Buttonowi?

— Jedno po drugim — odpowiedział Bruce i wyciągnął do mnie rękę.

Ceremonia wzajemnej prezentacji zakończyła się w sposób zadowolający i zaczęliśmy rozmawiać o owych dwóch starych gringos, którzy z jakiegoś miejsca, nieznanego żadnej mapie, być może obserwowali nas, zadowoleni, że są świadkami tego spotkania.

Minęło kilka lat od owego dnia w Barcelonie. Kilka lat i kilka godzin, w tej chwili bowiem, gdy czekam, aż dokerzy skończą załadunek „El Colono” i będę mógł wejść na pokład, jest trzecia po południu i też jest luty. Oficjalnie na Południu świata jest wprawdzie lato, ale zimny wiatr od Pacyfiku nie przywiązuje do tego szczegółu żadnego znaczenia; porywy wiatru przenikają aż do kości i zmuszają do szukania ciepła wspomnień. Dwaj gringos, o których rozmawialiśmy w Barcelonie, poświęcili całe niemal życie sprawom bankowym, którymi, jak wiadomo, można zajmować się dwojako: będąc bankierem lub napadając na banki. Tamci wybrali tę drugą drogę, ponieważ w końcu byli gringos, mieli we krwi dobroczynny purytanizm, który obligował ich do niezwłocznego podzielenia się łupem. Łupem z napadów dzielili się z aktorami z Baltimore, nowojorskimi śpiewakami operowymi, chińskimi kucharzami z San Francisco, prostytutkami o czekoladowej skórze z Kingston i Hawany, wrózkami i czarownicami z La Paz, wątpliwymi poetkami z Santa Cruz, melancholijnymi muzami z Buenos Aires, wdowami po marynarzach z Punta Arenas, a na koniec sfinansowali niemożliwe rewolucje w Patagonii i Ziemi Ognistej. Nazywali się Robert Leroy Parker i Harry Longabaugh, Mister Wilson i Mister Evans, Billy i Jack, don Pedro i don Jose. Na

niekończące się równiny legend wkroczyli jako Butch Cassidy i Sundance Kid.

Wspominam to wszystko, kiedy czekam, siedząc na beczce wina i zapisując notatki w zeszycie w kratkę, który Bruce podarował mi właśnie z okazji tej podróży. Nie jest to pospolity zeszyt. To zabytek muzealny, autentyczny moleskin, jakże ceniony przez takich pisarzy jak Celinę czy Hemingway; nie ma już takich w sklepach papierniczych. Bruce sugerował mi, że przed zapisaniem zeszytu zrobił tak jak on: najpierw należy ponumerować kartki, potem na okładce zapisać przynajmniej dwa adresy gdzieś w świecie, a na koniec obiecać nagrodę temu, kto znajdzie zeszyt, jeśli się go zgubi. Kiedy zauważyłem, że to wszystko wydaje mi się zbyt angielskie, Bruce stwierdził, że właśnie dzięki tego typu ostrożności Anglicy nadal łądzą się, że są imperium; w każdej kolonii krwią i ogniem wryli swą przynależność do Anglii, a kiedy stracili kolonie, w zamian za niewielką rekompensatę ekonomiczną odzyskali je pod eufemistycznym hasłem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Moleskiny wyszły spod rąk mistrza intrologatora z Tours; jego rodzina wyrabiała je od początku wieku, ale po śmierci mistrza żaden /. potomków nie chciał kontynuować tej tradycji. I nie należy rozpaczać z tego powodu.

Takie są reguły

M

gry, narzucone przez domniemaną nowoczesność, eliminującą dzień po dniu rytuały, obyczaje i drobiazgi, które niebawem będziemy wspominać z nostalgią.

Jakiś głos zapowiada, że odpłyniemy „w ciągu kilku minut”, ale nie mówi ilu.

Większość niewielkich portów i osad na wyspie Chiloe była założona przez piratów lub w obronie przed nimi w XVI i XVII wieku. Piraci czy hidalgowie, wszyscy musieli przepłynąć przez Cieśninę Magellana i tym samym przybić do miejsc takich jak Chonchi, aby zaopatrzyć się w prowiant. Z tamtych czasów zachował się funkcjonalny charakter budynków: wszystkie pełnią podwójną funkcję, chociaż jedna zawsze dominuje. Różne pomieszczenia służą jako bar i sklep z artykułami metalowymi, bar i poczta, bar i biuro kabotażowe, bar i apteka, bar i zakład pogrzebowy. Wchodzę do jednego z nich. Jest to bar i punkt weterynaryjny, chociaż szyld nad wejściem zapewnia, że pomieszczenie pełni jeszcze jedną funkcję: LECZENIE ŚWIERZBU I BIEGUNKI U LUDZI I ZWIERZĄT.

Siadam za stołem, przy oknie. Przy sąsiednich stolikach grają w truco; to gra w karty, która dopuszcza wszelkiego rodzaju gesty między partnerami i wymaga, by przy położeniu karty wygłosić rymowane powiedzonko.

Proszę o wino. — Wino czy winko? — pyta kelner. Urodziłem się w tym kraju, tyle że bardziej na północ. Ledwie dwa tysiące kilometrów dzieli Chonchi od mojego rodzinnego miasta i być może z powodu długiej nieobecności w tym zakątku zapomniałem o pewnych istotnych uściśleniach. Nie myśląc o tym, nalegam na wypicie wina.

W chwilę potem kelner wraca z ogromnym, niemal litrowym dzbanem.

Nie wolno zapominać o zdrobieniach na

Południu świata.

Dobre wino. Młodziutkie, nieco kwaśne, cierpkie, ostre jak cała przyroda, która mnie oczekuje po wyjściu z portu. I gdy je tak popijam z przyjemnością, przypominam sobie historię, którą Bruce opowiadał ze

szczególным zadowoleniem.

Wracając z podróży po Patagonii, z plecakiem wypchanym moleskinami, w których utrwał zarys tego, co później zatytułuje *W Patagonii*, jednej z najlepszych książek podróżniczych wszystkich czasów, Bruce spędził jeden dzień w Cu-caó, we wschodniej części wyspy. Od kilku dni chodził głodny, zatem postanowił zjeść coś, co nie obciążałoby zbyt żołądka.

— Poproszę o coś lekkiego — zwrócił się do kelnera. Podano mu połówkę pieczonego baraniego udźca, a kiedy protestował, mówiąc, że chce coś lekkiego, usłyszał jedną z tych odpowiedzi, które nie dopuszczają jakiegokolwiek repliki:

— To był bardzo chudy baran. Na całej wyspie nie znajdzie pan lżejszego stworzenia.

Osobliwi są tutejsi mieszkańcy. Chiloe jest przedsiódkiem Patagonii, tutaj zatem zaczynają się naiwne i urokliwe dziwactwa, które usłyszymy albo zobaczymy dalej na południe. Pewien argentyński nauczyciel opowiedział mi niezrównaną historię. Jeden z jego uczniów napisał wypracowanie o zegarku: „Zegarek służy do ważenia spóźnień. Zegarek czasem się psuje i tak jak z samochodu wycieka olej, z zegarka wycieka czas”.

Czy ktoś coś mówił o śmierci surrealizmu?

W porcie wzmaga się ruch. Ciężarówki już są na pokładzie, a teraz wjeżdżają samochody osobowe. Wkrótce wezwą pasażerów, gdy tylko dokerzy zakończą załadunek. Wyspiarze są krzepcy. Są przysadziści, mają krótkie, ale mocne nogi; truchtem przenoszą ciężkie worki kartofli i warzyw, bele tkanin, sprzęt kuchenny, skrzynie soli, worki z yerba matę, herbatą i ryżem, towary należące do kupców, synów albo wnuków

Libañczyków, którzy po przybyciu na te ziemie przemierzali konnymi karawanami hacjendy i osady, zagubione w górach, nad fiordami i na bezkresnej pampie.

Dokończyłem swoje wino. Panujący ruch udziela się i mnie; całe moje ciało rwie się do odjazdu.

Ta podróż zaczęła się wiele lat temu, nieważne, jak dawno temu. Zaczęła się owego chłodnego lutowego dnia w Barcelonie, kiedy siedziałem z Bruce'em przy stole w Cafe Zurich. Towarzyszyli nam dwaj starzy gringos, choć tylko my mogliśmy ich widzieć. Skoro było nas czterech przy stole, więc nikt nie powinien się gorszyć, że opróżniliśmy dwie butelki koniaku.

65

i I

Nigdy, być może, nie dowiemy się, jak ci dwaj bandyci organizowali napady na banki, ale mogę powiedzieć, jak pewien Anglik i pewien Chilijczyk, mocno już zalani o piątej po południu, zaplanowali podróż na kraniec świata.

— Kiedy ruszamy, Chilijczyku?

— Kiedy mi pozwolą, Angliku.

— Ciągle masz problemy z naczelnymi, którzy rządzą w twoim kraju?

— Ja nie. To oni mają problem ze mną.

— Rozumiem. Nieważne. Teraz możemy lepiej przygotować podróż.

I nadal gawędzili o mniej istotnych sprawach, jak odnalezienie hacjendy, gdzie podobno ścięto Butcha Cassidy i Sun-dance'a Kida, odwiedzenie grobu, gdzie ponoć pochowano obu awanturników, odtworzenie ostatnich

dni ich życia czy wreszcie zapełnienie na cztery ręce tylu kartek, ile się da, w formie sagi albo powieści.

Kiedy wreszcie otrzymałem upragnioną zgodę na powrót na Południe świata, Bruce Chatwin już rozpoczął nieuniknioną podróż. Myślę, że kiedy wykupił wszystkie moleski-ny w starym paryskim sklepie papierniczym przy Rue de l' Ancienne Comedie, jedynym, który je sprzedawał, Bruce nieświadomie przygotowywał się do długiej, ostatniej podróży. Co, u diabła, zanotuje w nich, gdziekolwiek się znajdzie?

Pozwolenie na powrót do mojego świata nieoczekiwanie dotarło do mnie w Hamburgu. Przez dziewięć lat w każdy poniedziałek przychodziłem do konsulatu chilijskiego z pytaniem, czy już mogę wrócić. Dziewięć lat, podczas których pięćset razy otrzymywałem tę samą odpowiedź: „Nie, pańskie nazwisko figuruje na liście osób, które nie mogą wrócić”.

Aż tu nagle, pewnego styczniowego poniedziałku, ponury urzędnik przełamał swoją rutynę i moje przyzwyczajenie, polegające na wysłuchiwaniu kategorycznych „nie!": „Kiedy tylko pan chce, może pan wracać, kiedy tylko pan chce. Pańskie nazwisko zostało skreślone z listy”. Wyszedłem, dygocząc, z konsulatu. Długie godziny przesiedziałem nad Alsterem, aż przypomniałem sobie, że zobowiązania wobec przyjaciół są święte, i zdecydowałem się w najbliższych dniach ruszyć na spotkanie krańca świata.

Wreszcie wzywają pasażerów. W drogę, Bruce, Angliku potępieńcze; będziesz podróżował jako tajniak, ukryty między kartkami moleskinu. Jutro wieczorem będziemy w Patagonii, na tropie dwóch gringos, którzy zapoczątkowali tę przygodę. Ani oni, ani gauczowie, których poznałeś, nie będą zaskoczeni naszym przybyciem, bo Patagończycy w głuchej

samotności swych farm dowodzą, że „śmierć zaczyna się wtedy, gdy ktoś pogodzi się z myślą, że umarł”.

Już rzucili cumy „El Colono”, ale jeszcze nie podniosła się furta. Dwóch marynarzy dyskutuje z bladym jak prześcieradło starcem, który nalega na załadowanie trumny. Marynarze zaklinają się, że to przynosi pecha. Stary argumentuje, że ma prawo zabrać siedemdziesiąt kilo bagażu. Marynarze grożą, że wyrzucą trumnę za burtę. Stary wrzeszczy, że ma raka i przysługuje mu godny pochówek, bo jest szanowanym obywatelem.

Interweniuje kapitan i ostatecznie dochodzą do porozumienia: zabiorą go z trumną i wszystkim, pod warunkiem że stary zobowiąże się, że nie umrze podczas rejsu. Potem pasażer siada na trumnie. Wszystko to jest strawą dla moleskinu.

Statek odpływa, kierując się ku zatoce Corcovado. Niebawem zapadnie zmrok, a ja cieszę się, że mam ze sobą dużo tytoniu i manierkę pełną ożywczego, młodego wina. Gotów ! jestem uświetnić w zeszycie wszystko, co widzę. Wkrótce popłyniemy w noc Południa, kursem na kraniec świata.

Kiedy w blasku Krzyża Południa wznoszę toast za zdrowie potępieńca Anglika, który wyruszył pierwszy, wiatr przynosi mi coś na kształt tętentu koni, dosiadanych przez dwóch starych gringos, galopujących ponad niepewną linią brzegową, w bezkresnej i pełnej przygód krainie, której nie można zamknąć w pospolitych granicach, oddzielających życie od śmierci. U wejścia do wielkiego fiordu Aysen „El Colono” zmniejsza prędkość i robi zwrot o czterdzieści pięć stopni, kierując

się ku Patagonii. Statek płynie odtąd bardzo wolno, rejs jest monotony,

niczym gesty kierowców ciężarówek, transportowanych na promie — ludzi, którzy zabijają czas, dyskutując o partyjkach domina, piją gorzkie matę lub golą się, przeglądając się we wstecznym lusterku swoich pojazdów. Inni, którzy ani nie grają, ani nie przeglądają się w lusterku, sprawdzają, czy ładunek — worki czosnku, ziemniaków, cebuli, warzyw i tego wszystkiego, co nie rośnie, nie kwitnie ani nie jest produkowane w tym ogromnym regionie, do którego podążają — jest dobrze zabezpieczony na grzbiecie ciężarówek, spoczywających niby śpiące zwierzęta w brzuchu czerwono-białego wieloryba.

Gdy nastaje bezwietrzny poranek, tylko lekka bryza świadczy o tym, że opuściliśmy Pacyfik, wpływając na spokojne wody wielkiego fiordu. Tafla wody przypomina metaliczną płytę, z której wschodzące słońce wydobywa srebrzyste refleksy.

Na mostku kapitańskim sternik i dwóch oficerów uważnie obserwują gładki tor wodny. Ludzie morza wolą wysoką falę w fiordach. Po ruchu wody rozpoznają zdradzieckie ławice piaskowe i ostre rafy, ukryte pod powierzchnią. Nie ma nic gorszego od spokojnego morza, mawiają marynarze z południowych mórz. Płyniemy południowo-zachodnim kursem i jeśli dopisze nam szczęście, dotrzemy do miejsca zwanego Trapananda.

— Jak dopłynąć do Trapanandy? — pytam jednego z kierowców.

— Nie mam pojęcia. Spytaj kapitana — odpowiada, nie przestając się golić.

Nie. To nie Patagończyk.

— Jak dopłynąć do Trapanandy? — pytam znowu, tym razem kierowcę pijącego matę.



— Mając cierpliwość, brachu. Wielką cierpliwość — odpowiada i spogląda na mnie ze zrozumieniem.

Tak. Ten bez wątplenia jest Patagończykiem.

Trapananda. W roku 1570 gubernator Chile don Garcia Hurtado de Mendoza przekonał się rozczarowany, że pogłoski o wielkich pokładach złota i srebra — na południe od La

Frontera, na równinie u stóp wzgórza Nielol, gdzie Indianie Mapuche, Pechuenche i Tehuelche zaczęli stawiać zacięty opór, trwający ponad cztery stulecia, a byli oni pierwszą partyzantką w Ameryce Południowej — były tylko pogłoskami, podstępnie rozsiewanymi pogłoskami.

Don Garcie Hurtada de Mendozy nie interesowały zbytnio metale szlachetne. Był rolnikiem, więc podobnie jak wielu innych konkwistadorów — Pedro de Valdivia był jednym z nich — z zadowoleniem stwierdził, że potencjał rolniczy ziem położonych na północ od Rio Bio jest niezmierny. Rosło tu wszystko. Wystarczyło rzucić ziarno, a żyzna ziemia rodziła sama.

Udawało się nawet wino. W roku 1562, na ziemiach zarządzanych przez encomendero Jeronima de Urmenetę, dwadzieścia lig na południe od Santiago del Nuevo Extremo, wyprodukowano pierwsze pięćdziesiąt baryłek chilijskiego wina. Był to trunek zawieszisty, mocny, wytrawny i ciemny jak noc. Dobre wino do konsekrowania, ale jeszcze lepsze do próbowania. Potomkowie zarządcy kontynuowali produkcję i w tej chwili Urmeneta del Valle del Maipo uznawane jest za I jedno z najlepszych win w świecie.

Ziemie te dawały wszelkie dobra, ale Hiszpania domagała się jedynie złota i srebra, toteż pewnego razu don Garcia postanowił dać wiarę pogłoskom o

złocistym i srebrzystym kruszcu.

Tym razem pogłoski rozpowszechniane wśród żołnierzy mówiły o tajemniczym królestwie Tralalanda, Trapalanda albo Trapananda, gdzie ulice w miastach brukowano sztabami złota, a drzwi domów osadzone były na zawiasach ze srebra najwyższej próby. Niektórzy twierdzili, że Trapalanda, Tralalanda albo Trapananda jest mitycznym Zagubionym Miastem Cezarów, wersją Eldorado na Południu. Pogłoski donosiły, że owo cudowne królestwo rozciąga się na południe od Reloncavi, w odległości tysiąca dwustu kilometrów od młodej stolicy chilijskiej.

Don Garcia Hurtado de Mendoza zorganizował ekspedycję pod dowództwem adelantado Ariasa Pardo Maldonady i wysłał ją z rozkazem, by zdobyła dla Hiszpanii kró-

lestwo Tralalandy, Trapalandy albo Trapanandy, czy jak ją tam zwał.

Żadnemu historykowi nie udało się dowieść, że Arias Pardo Maldonado dotarł na ziemię na południe od Reloncavi, na ziemię Patagonii kontynentalnej, aczkolwiek w sewilskim Archiwum Indii znajdują się dekrety sporządzone ręką adelantado:

„Lud Trapanandy jest wysoki, przerażający i owłosiony. Mają nogi tak olbrzymie i osobliwe, że ich chód jest powolny i ociężały, co czyni ich łatwym celem dla arkebuzjerów”.

„Trapanandczycy mają uszy tak ogromne, że kładąc się spać, nie potrzebują koców ani innych okryć, jeno owijają nimi swe ciała”.

„Od mieszkańców Trapanandy bije taki odór i smród morowy, że sami znieść nie mogą swej bliskości i nie zbliżają się do siebie, za czym potomstwa nie mają”.

Czy to ważne, że Arias Pardo Maldonado był lub nie w Trapanandzie, że dotarł lub nie do Patagonii? Wraz z nim na kontynencie amerykańskim narodziła się literatura fantastyczna, nasza nieokiełznana wyobraźnia, i to uprawomocniło jego status postaci historycznej.

Być może był w Patagonii i urzeczony jej krajobrazem wymyślił opowieści o monstrualnych istotach, aby zniechęcić następnych odkrywców. Jeśli istotnie taki był jego zamiar, to pewne jest, że go osiągnął, chilijska Patagonia bowiem pozostała dziewicza aż do początków naszego wieku, kiedy rozpoczęła się kolonizacja tego terytorium.

Przepłynęliśmy już około pięciu mil w głąb lądu, kiedy nagle „El Colono” zmniejszył jeszcze bardziej prędkość. Wraz z innymi pasażerami wychyliłem się przez reling na sterburcie, żeby zobaczyć, co się stało. Jeśli dopisze szczęście, nadal można spotkać tu wieloryby albo delfiny. Ale tym razem nie były to żadne zwierzęta, lecz szalupa, która zbliżała się w naszym kierunku.

To łódź z Chiloe. Jest niewielka; ma jakieś osiem metrów długości i trzy szerokości i porusza się na jednym żaglu. Wiem, że ta krucha szalupa jest częścią tego, co wzywało mnie z Południa świata.

„Pożywi się tylko śmiałek” — mawiają Chilotańczycy. Ten, którego obserwuję, jak siedzi na rufie, trzymając w ręku rogatnicę steru, jakby była ona częścią jego ciała, to Chilo-tańczyk, z tych, co „ośmielili się” ukształtować dęby, modrzewie, topole, eukaliptusy i drzewa tekowe; przez

długie lata kontrolował ich rośnięcie, zawieszając na nich kamienie o różnym ciężarze, aż pnie stały się twarde i gładkie, w sam raz na mocne i elastyczne drewno. Żeglarz gestem ręki dziękuje kapitanowi, że zmniejszył prędkość „El Colono”; wysokie fale wywołane przez statek mogłyby wywrócić kruchą łódź. Teraz żegluje wielkim fiordem, tak jak zwykł żeglować po Corcovado, straszliwej zatoce Penas, kanałami Messier, Indio, Cieśniną Magellana, na otwartym morzu, bez radaru, radia, instrumentów nawigacyjnych, pomocniczego silnika, bez niczego oprócz znajomości morza i wiatrów.

Ten morski wędrowiec jest moim bratem i jako pierwszy wita mnie w Patagonii.

Ladislao Eznaola i jego młodsi bracia, Inaqui i Agustin, zbudowali na swej estancii dom, położony na północnym brzegu jeziora, zwanego w Chile General Carrera, a Buenos Aires w Argentynie. Tysiąc krów i pięć tysięcy sztuk innego bydła rogatego pasie się na sześciu tysiącach hektarów ziemi. Właściciele żyją z hodowli i sprzedaży towarów, sprowadzanych morzem z północnej części Chile, które przewożą „bla-szakami” — żywotnymi i pojemnymi furgonetkami — albo dwiema tratwami, pływającymi po jeziorze.

Mieszkańcy Perito Moreno i innych osad argentyńskiej Patagonii z ulgą witają tratwy braci Eznaola, zwłaszcza w długie zimowe miesiące, kiedy drogi są nieprzejezdne i wstrzymane są dostawy z Puerto Deseado czy Comodoro Rivadavia, miast na wybrzeżu atlantyckim.

Ladislao na powitanie obejmuje mnie wylewnie; pytam go o jego ojca, legendarnego starego Eznaolę.

I

— Robi to, co zawsze. Nic się staruszek nie zmienił. Nigdy się nie zmieni. A skończył już osiemdziesiąt dwa lata — mówi tonem na wpół rozbawionym, na wpół zatroskanym.

„To, co zawsze” — znaczy żeglowanie. Stary Eznaola jest jeszcze jednym morskim wędrowcem, ale różni się od Chilo-tańczyków. Żegluje kanałami, poszukując statku widma „Ca-leuche” — południowej odmiany Latającego Holendra, albo „Cacafuego” — statku angielskich piratów, którzy skazani są na wieczne błądzenie po kanałach, bez nadziei na wypłynięcie na pełne morze, skutkiem klątwy rzuconej na załogę za bunt i zabicie dwóch kapitanów. Ta klątwa trwa od ponad czterystu lat i stary Eznaola uważa, że załoga poniosła już wystarczającą karę. Dlatego też przemierza kanały swoim kutrem, ozdobionym chorągiewkami amnestii. Szuka ich, żeby jako doświadczony pilot wyprowadzić ich na wolność, na otwarte morze.

— Proszę się częstować. Wystarczy tych czułości — mówi Marta, żona Ladislao, podając mi talerz z dwiema empanadas.

Witam się z kobietami z estancii. Marta jest weterynarzem; Isabel, żona Inaąuiego, jest nauczycielką i podjęła się wykształcenia nowego pokolenia Eznaolów i innych dzieci z estancii. Flor, żona Agustina, jest w Patagonii legendą. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalu w Rio Mayo, w Argentynie. Agustin od zawsze się kochał w niej, ale nigdy nie odważył się wyznać swoich uczuć. Widywał ją raz w roku i po każdym spotkaniu jego miłość potężniała, łamiąc mu niemal serce. Pewnego dnia Agustin dowiedział się, że Flor niebawem wyjdzie za mąż za urzędnika

bankowego. Wsiadł do swego „bla-szaka”, załadował także gitarę i poprosił braci i szwagierki, aby przystroili dom, ponieważ on wróci tu z kobietą swych marzeń.

Przyjechał do Rio Mayo w niedzielę, w dniu ślubu, i z gitarą w ręku usadowił się przed wejściem do kościoła, aby czekać na kobietę swego życia. Flor pojawiła się w stroju panny młodej, wraz z rodzicami. Wkrótce miał stawić się pan młody. Agustin poprosił ją, by wysłuchała go i nic nie mówiła, aż do przybycia pana młodego. I Idczył w struny gitary i zaśpiewał

strofy, w których jego miłość objawiła się w całej poetyckiej urodzie i w przejmującym bólu kogoś, kto kochał ją i będzie kochać nawet po śmierci. Pan młody, gdy się zjawił, chciał przerwać występ, ale powstrzymała go Flor i mieszkańcy Rio Mayo. Dwie godziny śpiewał Agustin, a kiedy już szykował się do rozbicia gitary, aby nikt nie ważył się skalać jego miłosnych wierszy, Flor chwyciła go za rękę, poprowadziła do „blasza-ka” i wyruszyli razem do estancii. Flor przyjechała w sukni ślubnej i odtąd Agustin, który jest jednym z najlepszych bardów w okolicy, nazywają „swoją białą muzą”.

— A don Baldo Araya? — pytam niespokojnie, nie widząc nigdzie mojego serdecznego patagońskiego przyjaciela.

— Wkrótce tu będzie. Przyjedzie z tymi z radia. Pozostali już są. Chodź, poznasz ich — zaprasza mnie Ladislao.

— Santos Gamboa z Rio Mayo.

— Do usług, przyjacielu — mówi przedstawiona osoba, przykładając dwa palce do ronda gauczowskiego kapelusza.

— Ciągłe nadają muzykę w Rio Mayo?

Gauczo, nim odpowie twierdząco, drapie się po głowie.

Rio Mayo jest niewielkim miastem w Patagonii argentyńskiej, nieustannie chłostanym wiatrami znad Atlantyku, które, przetaczając się po pampie, niosą ze sobą naręcza berbersu calafate, pęki trawy coirón i tony kurzu. W Rio Mayo domy po przeciwnej stronie ulicy często nikną w tumanach kurzu.

W roku 1977, za czasów dyktatury wojskowej w Argentynie, pewien pułkownik z regimentu Strzelców z Chubut wpadł na genialny pomysł — genialny z militarnego punktu widzenia, ma się rozumieć — aby uniemożliwić ewentualne spotkania konspiratorów na ulicy. Na każdym rogu kazał zawiesić na słupach telegraficznych megafony, które bombardowały miasto muzyką wojskową — za przeproszeniem muzyką — od siódmej rano do siódmej wieczorem. Kiedy w Argentynie rozpoczął się proces demokratyzacji, nowe władze nie chciały usuwać megafonów, aby nie drażnić wojskowych, toteż mieszkańcy Rio Mayo nadal cierpieli dwanaście godzin nalotów akustycznych. Od 1977 roku ptaki omijają miasto, a większość mieszkańców ma kłopoty ze słuchem.

O

a p

o

N qu a ^

lt!.5"S

5. S\* p 3 p

KfSI

żai 3 3  
O 3. |o i P żni  
o N-  
3. O a\*

starszego syna Octavia Brauna z panną Faumelindą Brauti-gam. Będzie konkurs gry w truco i taba, ujarzmianie koni, pieczenie barana, świniaka i cielaka. Przewidziany jest również wieczór poetycki w wykonaniu Santosa de la Roca, barda z Rio Gallegos. Prosimy o zabranie ze sobą namiotów. Zabawa będzie trwała tydzień".

W 1976 roku dyktatura zaczęła zsyłać przeciwników politycznych do Patagonii. Listy, które zesłańcy pisali lub otrzymywali od rodzin z Północy, przechodziły przez cenzurę wojskową, co z reguły polegało na niszczeniu korespondencji. Wtedy Radio Ventisquero, Głos Patagonii zaczęło przesyłać wiadomości na falach krótkich i zesłańcy nie tylko mogli porozumiewać się z rodzinami, ale również nadawać komentarze polityczne. W kilka miesięcy Radio Ventisquero słyszalne było aż w Arica, nad granicą peruwiańską, w odległości niemal czterech tysięcy kilometrów.

Odpowiedź wojskowych przyszła natychmiast. Pewnej nocy, w czasie godziny policyjnej, „nieznani sprawcy" wysadzili w powietrze nadajnik. Patagończycy także nie kazali na siebie czekać: Jorge Diaz dostał najdłuższe i najbardziej giętkie pnie eukaliptusowe do zamontowania nadajnika podczas emisji. I nadawał. Ciągłe nadaje i będzie nadawał. Ladislao Eznaola prosi zebranych o ciszę, stukając w ruszt nożem.

— Moi kochani, zgodnie z tradycją naszej estancii otwieramy osiemnaste



mistrzostwa w kłamstwach Patagonii. Wszystkie opowiedziane tu kłamstwa będą później nadane w Radio Ventisquero. Będzie je nagrywał Jorge Diaz, więc nie bójcie się mikrofonu. Tak jak podczas poprzednich konkursów zwycięzca otrzyma cielaka rasy Holsten.

Czyż istnieją gdzieś jeszcze w świecie podobne mistrzostwa, mistrzostwa w kłamstwach?

Isidoro Cruz z Las Heras w prowincji Chubut przed wystąpieniem łyka spory haust wina.

— To, co opowiem, wydarzyło się jakiś czas temu, podczas najbardziej paskudnej zimy, jaką pamiętacie. Byłem wtedy ubogi i chudy, tak chudy, że nie rzucałem nawet cienia, tak chudy, że nie mogłem włożyć poncza, bo jak tylko wsuwałem

głowę w otwór, ponczo opadało mi na nogi. Pewnego ranka powiedziałem sobie: „Isidoro, tak dalej być nie może; ruszaj do Chile”. Mój koń był równie wychudzony jak ja, więc zanim go dosiadłem, zapytałem: „Bracie, stara szkapo, sądzisz, że mnie uniesiesz?” Koń odpowiedział: „Tak, ale bez siodła. Siadaj na oklep”. Posłuchałem rady konia i wyruszyliśmy w góry. Zbliżałem się już do granicy chilijskiej, kiedy gdzieś z bliska usłyszałem słabiutki, bardzo słabiutki głos: „Już nie mogę, dalej nie jadę”.

Przestraszony rozejrzałem się na wszystkie strony, szukając właściciela głosu, ale nikogo nie było. Powiedziałem więc w przestrzeń: „Nie widzę cię. Pokaż się”. Znowu odezwał się cichutki głos: „Pod twoją lewą pachą. Jestem pod twoją lewą pachą”. Wsadziłem rękę w kłaki pod pachą i coś tam wymacałem. Podniosłem rękę do oczu i zobaczyłem pchłę przyczepioną do mojego palca, pchłę tak chudą jak mój koń i ja sam. Biedna pchła, pomyślałem i zapytałem ją, od jak dawna żyje na moim

ciele. „Wiele lat, oj, wiele. Ale przyjdzie nam się rozstać. Chociaż ważę tyle, co brud za paznokciem, jestem zbędnym ciężarem dla ciebie i dla konia. Posadź mnie na ziemi, przyjacielu". Czułem, że pchła ma rację, i zostawiłem ją pod kamieniem, dobrze ukrytą, coby jej nie zadziobał żaden ptak. „Jeśli powiesz mi się w Chile, w drodze powrotnej odszukam cię i pozwolę ci się wyssać, ile dusza zapagnie", powiedziałem jej na pożegnanie.

W Chile dobrze nam poszło. Utyłem, mój koń też przybrał na wadze i kiedy po roku ruszyliśmy w powrotną drogę z forszą w kieszeni, z nowym siodłem i ostrogami, poszukałem pchły tam, gdzie ją zostawiłem.

Znalazłem ją. Była jeszcze bardziej wychudzona, niemal przezroczysta, i prawie się nie ruszała. „Oto jestem, pchło. Chodź, staruszek, ssij, ssij, ile dusza zapagnie", powiedziałem i włożyłem ją pod lewą pachę. Pchła ugryzła, najpierw leciutko, potem coraz mocniej, ochoczo wysysając krew. Wnet roześmiała się pchła i ja też roześmiałem się, a mój śmiech udzielił się koniowi. Przeszliśmy góry, zaśmiewając się, pijani radością, i odtąd ten szlak przez góry nazywa się Radosnym Szlakiem. Wszystko to, jak powiedziałem, wydarzyło się jakiś czas temu, podczas najbardziej paskudnej zimy...

77

Isidoro Cruz kończy swą opowieść z kamienną twarzą. Gauczowie dyskutują, oceniają, uznają, że to ładne kłamstwo, klaszczą, piją, zapewniają, że zapamiętają, i teraz kolej na Carlosa Heina, jasnowłosego gaucza z Coyhaique.

Kiedy zapada noc, gauczowie ciągną swoje kłamstwa przy ognisku. Kilku parobków piecze dwoje jagniąt. Panie z es-tancii zapraszają do stołu.

Postanawiamy z Baldo Araya przejść się w stronę jeżynowego zagajnika.

— Ładne to kłamstwo o pchle.

— A to niebo? A te wszystkie gwiazdy, Baldo? To jeszcze jedno kłamstwo Patagonii?

— Co za różnica. Tu, na tej ziemi, kłamiemy, żeby znaleźć szczęście. Ale nikt z nas nie myli kłamstwa z oszustwem.

Los Antiguos jest małym, przygranicznym miasteczkiem, położonym na południowym brzegu jeziora Buenos Aires, w argentyńskiej części Patagonii. Łagodne, zalesione stoki otaczające jezioro są smutną pozostałością ogromu, który dzisiaj jest już tylko wspomnieniem. Są pozostałością tysięcy zniszczonych gigantów, resztkami trzystu tysięcy hektarów spopielonego lasu, strawionego przez ogień po to, by hodowcy mogli założyć pastwiska. Nadal widać szczątki pni, których średnica przekracza wzrost człowieka.

Pablo Casorla jest inżynierem leśnictwa; mieszka i pracuje w Los Antiguos. Zajmuje się szacowaniem bogactwa leśnego, które jeszcze ocalało. Marzy o rezerwacie przyrody pod patronatem UNESCO; coś jakby zielone dziedzictwo ludzkości, które pozwoli przyszłym pokoleniom wyobrazić sobie, jak wyglądał ten region przed pojawieniem się wątpliwego postępu. Widzę, jak zeskakuje z konia i ogląda jakiś pień.

— To drzewo liczyło od ośmiuset do tysiąca lat. Musiało mieć z siedemdziesiąt metrów wysokości — mówi, nie kryjąc smutku.

— Wiesz, kiedy je spalono?

— Jakieś trzydzieści lat temu.

Trzydzieści lat. Zmarło niedawno. Trzydzieści lat to ledwie jedno

tchnienie w wieku tych pokonanych olbrzymów, na których wszędzie dostrzegamy blizny po ogniu.

— Daleko jeszcze? — pytam.

— Już dojeżdżamy. Oto chata — mówi, wskazując palcem.

W miarę jak zbliżamy się, dostrzegam twardość pni użytych do konstrukcji. Brakuje drzwi, a ramy okienne wyglądają jak puste oczodoły. Nie zsiadając z koni, wjeżdżamy do środka. W ogromnym pomieszczeniu, z boku, znajduje się kamienny kominek. Krowy przeżuwają coś i wodzą za nami apatycznym wzrokiem, jakby przyzwyczyły się karać obojętnością intruzów, którzy wtargnęli bez zaproszenia do ich klubu towarzyskiego.

Przez wzgląd na krowy zsiadamy z koni.

— Zbudowali to w 1913 roku. Ci faceci byli znakomitymi cieślami.

Spójrz, jak świetnie obrobione są belki — pokazuje Pablo Casorla.

Istotnie, na szerniałych belkach, podtrzymujących strop, widać mistrzowską robotę rąk, stworzonych do struga i dłuta, do sztuki precyzyjnej obróbki.

Budowniczo wie chaty znani byli jako don Pedro i don Jose, ale dzisiaj wiadomo, że w rzeczywistości nosili przydomki Butch Cassidy i Sundance Kid. Zbudowali wiele chat na Południu świata, a najslawniejsza znajduje się pod Cholila, w rejonie tysiącletnich lasów, zwanym obecnie Modrzewiowym Parkiem Narodowym. Jego dyrektorką jest Chilijka, dona Hermelinda Sepulveda, która niegdyś przyjęła w gościnę Bruce'a Chatwina w trakcie jego wędrówek po tym regionie i usiłowała zeswatać go z jedną ze swoich córek, ale dziewczyna uległa miłosnym deklaracjom jakiegoś kierowcy ciężarówki.

— Mieszkali tu trochę ponad dwa lata, potem przenieśli się bardziej na

południe, w pobliże Fuerte Bulnes, nad Cieśniną Magellana. Stamtąd wyruszyli na ostatni ze swych wielkich napadów, jakim był napad na Banco de Londres y Ta-rapaca w Punta Arenas. Jakżebym chciał, żeby nadal żyli — wzdycha Pablo Casorla.

— Żyli? Mieliby teraz ponad sto lat.

— No i co z tego? Kto rodzi się cykadą, nigdy nie przestaje cykać. Gdyby ci dwaj żyli, razem z nimi obrobiłbym kilka banków i za łup wykupilibyśmy pół Patagonii. Jaka szkoda, że już nie żyją — wzdycha Pablo i w obecności krów, patrzących na nas karcącym wzrokiem, wypijamy kilka kieliszków wina za zdrowie tych dwóch bandytów — zastrzelił ich jakiś policjant chilijski — którzy napadali na banki na Południu świata i finansowali z łupów piękne i niemożliwe rewolucje anarchistyczne.

W połowie marca dni stają się krótkie, a Cieśniną Magellana przetaczają się wichury znad Atlantyku. To znak dla mieszkańców Porvenir, by przejrzeć zapasy drewna i przyglądać się melancholijnie stadom magelanek, które lecą od Ziemi Ognistej ku Patagonii.

Zamierzałem wyruszyć do Ushuaia, ale mówią mi, że ostatnie deszcze przerwały połączenie w kilku miejscach, a droga będzie naprawiona dopiero wiosną. Nie szkodzi. Na tych ziemiach absurdem jest ściśle planowanie trasy, a nadto przyjemnie jest przesiadywać w El Austral, w barze odwiedzanym przez ludzi morza, gdzie podają znakomitą sztufadę z jagnięcia, pachnącą goździkami i cebulą.

Wszyscy jak tu jesteśmy, z dziesięć osób, niecierpliwie czekamy, aż właścicielka zaprosi do stołu. Pijąc wino, chłoniemy aromaty, dobiegające z kuchni. Ma coś z liturgii to oczekiwanie, napełniające usta śliną.

Na końcu kontuaru rozmawia trzech mężczyzn; ich angielszczyzna jest bardzo brytyjska. Zapijają się ginem. Nie jest to trunk zbytnio ceniony na Ziemi Ognistej i zwykle zastępuje płyn po goleniu. Jeden z nich pyta po hiszpańsku, czy trzeba będzie jeszcze długo czekać na obiad.

— Nie wiadomo. Każde jagnię jest inne. Tak jak ludzie — odpowiada właścicielka, dofia Sonia Marineovich, metr osiemdziesiąt wzrostu i jakieś d/.icwięcd/.tcsi;11 kilo żywej wagi

ciała o słowiańskich kształtach, ukrytych pod czarnym fartuchem.

— Spieszmy nam się — nalega Anglik.

— Tu tylko czasu jest w bród — zauważa jeden z obecnych.

— Ale musimy wypłynąć za dnia, rozumiecie?

— Rozumiem. W którą stronę? Pytam, bo pod wieczór powieje wiatr, co i wołu zwali z nóg.

— Płyniemy do Zatoki Raula.

— A, znaczy się do Kazirodzkiej Zatoki — poprawia rozmówca.

Mężczyzna wali dłonią o kontuar, rzuca kilka banknotów i wychodzi z towarzyszami, miotając angielskie przekleństwa. Podchodzę do rozmówcy porywczego Anglika.

— Chyba się obraził. Co to za Kazirodzka Zatoka?

— Historia, ale Anglicy nie mają poczucia humoru. Pies im mordę lizał. Stracili potrawkę z jagnięcia. Nie zna pan tej historii?

Odpowiadam, że nie, a on rzuca okiem na doinę Sonię. Kobieta macha uspokajająco ręką znad rondli.

— Było to mniej więcej tak: w 1935 roku w kanale Beagle zatonął angielski parowiec i jak się zdaje, ocalał jedynie misjonarz protestancki i jego siostra. Rozbitkowie mogli pójść na wschód i w tydzień dotarliby do

Ushuaia, ale stracili orientację i poszli na północ. Przemierzyli osiemdziesiąt kilometrów, przedzierając się przez lasy, przeprawiając przez rzeki, wspinając się i schodząc z gór, i w końcu po czterech miesiącach doszli do miejsca, które dawniej nazywało się Zatoką Raula, na południowym brzegu zatoki Almirantazgo. Tu odnaleźli ich Indianie Tehuelche i zaprowadzili do Porvenir. Oto cała historia.

— A skąd ta nazwa Kazirodcza Zatoka?

— Bo kiedy kobieta dotarła tu, była w ciąży. Zapłodnił ją własny brat.

— Do stołu, już podaję — zapowiada dona Sonia, a my ciałem i duszą oddajemy się wyśmienitej sztufadzie z jagnięcia, którą przegapili Anglicy z powodu złego humoru.

## XII

Na północ od Manantiales, osady nafcjarzy na Ziemi Ognistej, znajduje się przystań rybacka z dwunastoma albo trzynastoma domami, zwana Przesmykiem, położona jest bowiem dokładnie na wprost pierwszego przesmyku w Cieśninie Magellana. Domy zamieszkane są tylko podczas krótkiego południowego lata. Potem, w czasie ulotnej jesieni i długiej zimy, są jedynie punktem orientacyjnym w pustym krajobrazie.

W Przesmyku nie ma cmentarza, ale jest tam niewielki biały grób nad samym brzegiem morza. Spoczywa w nim Panchi-to Barria, chłopiec, który zmarł w wieku jedenastu lat. Wszędzie ludzie żyją i umierają — jak mówią słowa tanga, „umieranie jest przyzwyczajeniem” — ale przypadek Panchi-ta jest szczególnie tragiczny. Chłopiec umarł ze zgryzoty.

Nim skończył trzy lata, Panchito zachorował na polio i został kaleką. Jego rodzice, rybacy z San Gregorio w Patagonii, przepływali każdego lata

przez cieśninę i osiedlali się w Przesmyku. Chłopiec podróżował wraz z nimi, niczym ukochane zawiniątko, leżące na grubych kocach, wpatrzone w morze.

Gdy skończył pięć lat, Panchito Barria był chłopcem smutnym, nieśmiałym i prawie nie umiał mówić. Ale pewnego dobrego dnia zdarzył się jeden z tych cudów, które na Południu świata nikogo nie dziwią: stado złożone z dwudziestu albo i więcej delfinów, płynących z Atlantyku do Pacyfiku, pojawiło się na wysokości Przesmyku.

Tutejsi ludzie, którzy opowiedzieli mi historię Panchita, twierdzą, że jak tylko chłopiec je ujrzał, krzyknął rozdzierająco, a w miarę jak delfiny oddalały się, krzyk stawał się coraz głośniejszy i rozpaczliwszy. Kiedy delfiny zniknęły na horyzoncie, z gardła chłopca dobył się ostry pisk, tak wysoki, że zaalarmował rybaków i przestraszył kormorany, ale sprawił, że jeden z delfinów zawrócił.

Delfin podpłynął do brzegu i zaczął baraszkować. Panchito swoim ostrym, gardłowym głosem zachęcał go do igraszek w wodzie. Wszyscy pojęli, że między dzieckiem i zwierzęciem

zawiązała się nić porozumienia, niedopuszczająca żadnego wyjaśnienia.

Stało się tak, bo takie jest życie. I kropka.

Delfin pozostał w pobliżu Przesmyku przez całe lato. Kiedy nadchodząca zima zmusiła go do opuszczenia tego miejsca, rodzice Panchita i pozostali rybacy stwierdzili ze zdumieniem, że chłopiec nie objawia najmniejszych oznak smutku. Z zadziwiającą jak na pięciolatka powagą oświadczył, że jego przyjaciel delfin musi odpłynąć, bo gdyby został, uwięziłyby go lody; ale przecież wróci w przyszłym roku.

I delfin wrócił.



Panchito zmienił się, stał się dzieckiem rozmownym, wesołym, żartującym z własnego kalectwa. Był zupełnie odmieniony. Jego zabawy z delfinem powtarzały się przez kolejnych sześć sezonów letnich. Panchito nauczył się czytać i pisać, potrafił także narysować swojego przyjaciela delfina. Pomagał, jak inne dzieci, w naprawie sieci, przygotowywał balast, suszył małże, zawsze w towarzystwie swojego przyjaciela, fikającego koziołki w wodzie, a owe popisy przeznaczone były wyłącznie dla chłopca.

Pewnego letniego ranka 1990 roku delfin nie stawiał się na spotkanie.

Zaniepokojeni rybacy przeszukali cieśninę od końca do końca. Nie znaleźli delfina, ale natknęli się na jednego z morskich zabójców, rosyjski statek przetwórnicy, na wysokości drugiego przesmyku w cieśninie.

W dwa miesiące później Panchito umarł ze zgryzoty. Zgasł bez jednej łzy lub skargi.

Odwiedziłem jego grób i stamtąd spoglądałem na morze, na szare i wzburzone morze nadciągającej zimy. Morze, gdzie jeszcze niedawno baraszkowały delfiny.

Człowiek, który siedzi przede mną i podaje mi czarękę z matę, rozgarniając szczapy w ognisku, nazywa się Carlos i jest moim najlepszym i najstarszym przyjacielem. Nosi także nazwisko, ale domaga się, żebym podał tylko jego imię, jeśli opiszę coś z tego, co opowiedział mi owego deszczowego dnia.

II

mmn

— Carlos i tyle — nalega, krojąc płaty suszonej koniny, mięsa nasiąkniętego zapachem wiatru, wspaniale pasującego do matę.

— W porządku. Carlos i tyle — odpowiadam i nasłuchuję, jak deszcz

dudni o dach hangaru, gdzie siedzimy.

Od małego Carlos I Tyle miał jedną pasję w życiu: latanie. Rozczytywał się w komiksach o lotnikach, jego bohaterami byli Malraux, Saint-Exupery, von Rittchoffen, Czerwony Baron. Chodził do kina wyłącznie na filmy lotnicze, zbierał modele samolotów i w wieku piętnastu lat znał już wszystkie części samolotu.

Kiedy miał siedemnaście lat, pewnego plażowego popołudnia w Valparaiso zdradził swój sekret rodzinie.

— Zostanę pilotem. Zapiszę się do Szkoły Lotniczej.

— Zostaniesz wojskowym, kretynie. Szkoła Lotnicza należy do Sił Powietrznych, durniu — odpowiedzieli mu przyjaznym tonem.

— Nie. Mam sposób, żeby tego uniknąć.

— Naprawdę? Można wiedzieć, w co chcesz się wpakować?

— To bardzo proste; jak tylko nauczę się latać, zdezerteruję.

Nauczył się pilotować niewielkie maszyny i helikoptery, i wcale nie musiał dezertować z wojska. Kiedy w roku 1973 junta doszła do władzy, Carlos I Tyle został usunięty z Sił Powietrznych za socjalistyczne poglądy.

Kiedy Chilijczyk chce powiedzieć, jak bardzo jest mu dobrze, mawia:

„Cieszę się bardziej niż zapchlony pies”. Carlos I Tyle stwierdził: „Cieszę się bardziej niż zapchlony kondor”.

A gdzie poszuka szczęścia pilot bez pracy? Ma się rozumieć na Południu świata. Carlos I Tyle wyruszył do Patagonii. Wiedział, że są tam różni piloci, przewożący pocztę w tym regionie zapomnianym przez centralną biurokrację. Przyjechał do Aysen i w ciągu kilku tygodni poznał legendarnego lotnika tych szerokości geograficznych, kapitana Esquella,

który swoim DC-3 zaopatrywał estancie hodowlane w Patagonii i na Ziemi Ognistej.

Jego pierwszym zajęciem była praca mechanika, obsługującego „Czkającą Papugę”, maszynę, którą pilotowa! Es-

saquella i tylko Esaquella, aż do momentu, gdy wydarzyło się coś, co oddało stery w ręce Carlosa I Tyle.

— Esaquella. To dopiero był pilot! — wykrzykuje Carlos I Tyle, podając mi kolejne matę.

W maju 1975 roku Esaquella miał przymusowe lądowanie na niewielkiej plaży na półwyspie Tres Montes, na wprost zatoki Penas. DC-3 „Czkająca Papuga” przewoził ładunek owiec reproduktorów, dających najdelikatniejszą wełnę. Lot, rozpoczęty w Puerto Montt, przebiegał bez zakłóceń aż do chwili, gdy zepsuł się jeden z silników i samolot zaczął tracić wysokość. Pomocnik pilota radził pozbyć się ładunku, to znaczy wyrzucić owce do morza, aby odciążyć samolot, nabrać wysokości i próbować dolecieć do jakiegoś lądowiska na kontynencie. Esaquella odmówił. Oświadczył, że ładunek jest nietykalny, i zaczął szukać jakiegokolwiek plaży.

Zetknięcie się z ziemią nie należało do zbyt finezyjnych. Maszyna straciła część lewego podwozia i samolot utknął dziobem w morzu. Żadna owca nie poniosła szwanku i szczęśliwie ocalało także radio. Po otrzymaniu sygnału SOS Carlos I Tyle wypłynął statkiem owcom na odsiecz; miał ponadto sprawdzić stan samolotu.

Po załadowaniu owiec na statek zbadali samolot. Awarię silnika można było łatwo usunąć i poza podwoziem nie stwierdzili większych uszkodzeń w „Czkającej Papudze”. Maszynę dałoby się naprawić na miejscu, ale, do

licha, jak można było ją stąd ruszyć?

— Po wszystkim. To już koniec „Czkającej Papugi” — zauważył ktoś ze statku.

— Zamknij się, pataflanie. Wyciągamy ją, Carlitos? — zapytał Esauella.

— Pewnie, że wyciągamy — odpowiedział Carlos I Tyle.

Człowiekiem, który zapowiedział koniec „Czkającej Papugi”, był handlarz skór, znany ze swej słabości do robienia zakładów; nie mógł i tym razem oprzeć się pokusie.

— Esauella, stawiam pięć tysięcy pesos, że jej nie wyciągniesz — rzucił wyzwanie.

— Dziesięć tysięcy, że wyciągnę — odpowiedział pilot.

K.1

85

larz.

- Dwadzieścia tysięcy, że nie wyciągniesz—nalegał hand-

Pięćdziesiąt tysięcy, że ją wyciągnę, i wylatuj stąd! —

wrzasnął Esauella.

— Stoi. Pięćdziesiąt kawałków. Przybij.

Przyjęli zakład, podając sobie ręce. Pięćdziesiąt tysięcy nowych pesos. Dla

Carlosa I Tyle to była fortuna. Esauella

zaprosił go do samolotu.

— Carlitos, w grze jest pięćdziesiąt kawałków. Wyciągniemy maszynę i wyjdziemy na swoje. Masz jakiś pomysł?

— Tak, ale najpierw muszę poznać prognozę pogody. Przez radio nadano komunikat meteorologiczny, w ciągu

najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin wiatr będzie

umiarkowany.

— Powiedz właścicielowi statku, że jak tylko wyładuje owce w Puerto Chacabuco, niech wynajmie dwie pary wołów i kupi albo ukradnie z portu jachtowego katamaran. Ma wrócić z tym wszystkim przed upływem czterdziestu ośmiu godzin.

Statek odpłynął. Esauella, pomocnik i Carlos I Tyle wzięli się do pracy. Najpierw ścięli kilka drzew o mocnych pniach i podparli nimi samolot. Potem przy użyciu innych pni zbudowali coś na kształt platformy, o którą wsparli brzuch maszyny. Potem usunęli koła z nieuszkodzonego podwozia i wyciągnęli z samolotu wszystkie zbędne i ciężkie rzeczy. Kiedy skończyli po osiemnastu godzinach, wewnątrz „Czkającej Papugi” zostały tylko instrumenty nawigacyjne i fotel pilota.

Statek wrócił na czas i przywiózł wszystko, o co prosili. Przywiózł także handlarza, miłośnika zakładów, który nie przestawał im powtarzać, że część tych pięćdziesięciu tysięcy pesos — był przekonany, że już je wygrał — przeznaczy dla nich, zapraszając ich pod koniec tygodnia do najlepszego burdelu w Coyhaique. Trzech ludzi, zaabsorbowanych przysposobieniem „Czkającej Papugi” do latania, nie protestowało, kiedy tamten się przechwalał.

Woły przesunęły samolot, wyciągając go z wody. Ciężko się napracowały te woły.

DC-3 waży sporo, więcej niż wóz, ale że woły były krzepkie, ustawiły samolot równo na platformie z pni. Potem piloci zdemontowali kadłub katamaranu i przymocowali go do podwozia na miejsce kół. Następnie podwiązali tratwę ratunkową pod ogon maszyny, przekształcając

„Czkającą Papugę" w hydroplan.

Tymczasem marynarze ze statku sporządzili z bali kolejne dwie platformy, pod każdy kadłub katamaranu, a Esauella i Carlos I Tyle weszli do samolotu i zapuścili silnik. Śmigła DC-3 pracowały wybornie.

— Teraz pozostało już najłatwiejsze: wystartować — powiedział Esauella.

— Masz trzysta metrów spokojnej wody. Potem zaczynają się rafy — poinformował go Carlos I Tyle.

— Trudno będzie lądować. Nigdy nie latałem na hydro-planach — wyznał Esauella.

— Wody fiordu będą spokojne. Przynajmniej przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Jeśli masz do mnie zaufanie, pozwól mi pilotować ten szmelc. W Szkole Lotniczej pilotowałem Grumannsy, Catałiny, kobyły nie tak ciężkie jak DC-3, ale myślę, że mi się uda.

— W twoje ręce, Carlitos! Żeby jeszcze bardziej odciążyć maszynę, spuścimy część paliwa. Polecisz na rezerwie. Ze statku pokażę ci, kiedy masz się wznieść.

Szlachetne woły podciągnęły dalej „Czkającą Papugę" i zostawiły ją na wodzie. Kadłub katamaranu wytrzymał ciężar, a umocowana pod ogonem tratwa utrzymała tylną część maszyny nad wodą. Carlos I Tyle odczekał, aż statek dopłyne do linii raf, po czym zwiększył obroty silnika i maszyna ruszyła. Czystą przyjemnością było obserwowanie, jak wirują strzałki tachometru. Kiedy zobaczył, że Esauella podnosi w górę oba kciuki, przesunął do przodu drążek steru i „Czkająca Papuga" lekko poszybowała w górę.

To był udany lot, całkiem spokojny, choć bardzo kiwało, bo maszyna była tak lekka, że najmniejszy powiew wiatru targał nią niczym kartką papieru.

Przeleciał bez przeszkód dziewięćdziesiąt mil na północ, nad półwyspem Taitao, lodowcem San Rafael, aż do wejścia do wielkiego fiordu Aysen. Tutaj skręcił na wschód i kierując się migotliwą powierzchnią wody, skierował się w głąb lądu. Brakowało mu ośmiu mil, by osiągnąć zatokę Puerto Chacabuco, kiedy wskaźnik paliwa wskazał zero, ale on był już bezpieczny, niesiony bryzą znad Pacyfiku. Wodował się niczym łabędź, pośród wiwatujących tłumów, zebranych na molo.

Handlarz skór zapłacił wygraną. Carlos I Tyle otrzymał pięćdziesiąt tysięcy pesos i postanowił pracować na własny rachunek. Wkrótce potem poznał Peta Manheimma, innego lotnika poszukującego nieograniczonych przestworzy, i razem zainaugurowali pierwszy rynek owoców i warzyw: „Kwiat Handlu”.

Zaczęli od awionetki Piper i helikoptera Sikorsky, z demobilu po wojnie koreańskiej. W Puerto Montt ładowali do awionetki cebulę, sałatę, pomidory, jabłka, pomarańcze i inne owoce, transportowali je do Puerto Aysen, gdzie mieli bazę, i stąd helikopterem rozwozili warzywa i owoce do patagońskich farm i hacjend.

„Kwiat Handlu” kwitł aż do pewnego pechowego dnia, kiedy Pet i helikopter przepadli w jakiejś nagłej burzy. Nigdy nie odnaleziono ani Peta, ani szczątków maszyny. Spoczywa w którymś z lodowców, lasów lub jezior Patagonii, przyzywających, a czasem pochłaniających amatorów przygód.

Kiedy Carlos I Tyle stracił współnika i helikopter, zmienił zawód i zajął się usługami pocztowymi między Patagonią a Ziemią Ognistą. Z powodu owych zdarzeń, rozgrywających się na Południu świata, pewnego razu, po raz pierwszy na niebie Południa, zainicjował powietrzne usługi

pogrzebowe.

Któregoś czerwcowego ranka, w środku zimy, Carlos I Tyle przebywał w jednej z estancii koło Ushuaia. Robił przegląd Pippera przed powrotem na Północ i czekał, aż gaucho-wie skończą pieczenie barana. Nagle zajechał land-rover, z którego wysiadło czterech nieznajomych.

— Kto jest pilotem awionetki? — zapytał jeden z nich.

— Ja. O co chodzi?

— Musi pan nam wyświadczyć pewną przysługę. Zapłacimy każdą stawkę

— powiedział mężczyzna.

— Ile pan zażąda. Pieniądze nie są problemem — dorzucił drugi.

— Spokojnie, w czym rzecz?

— Zmarł don Nicanor Estrada, właściciel estancii San Benito. Ja jestem zarządcą — poinformował mężczyzna o śpiewnym głosie.

— Musi go pan przewieźć aż do Comodoro Rivadavia. Tam już czeka na niego rodzina, żeby odprawić wlorio. Don Nicanor musi być pochowany w rodzinnej krypcie.

Ci faceci nie mieli pojęcia, o czym mówią. Estancia San Benito znajduje się w Rio Grandę, a Comodoro Rivadavia osiemset kilometrów dalej, w linii prostej.

— Żałuję, ale moja maszyna nie ma takiego zasięgu. Paliwa starczy mi tylko do Punta Arenas, nie dalej — usprawiedliwił się Carlos I Tyle.

— Zabierze go pan. Nie słyszał pan, o kogo chodzi? — nalegał zarządcą.

— Nie. Ani myślę go zabierać. I żebyśmy się dobrze zrozumieli; ja decyduję, kiedy i dokąd lecę i kto będzie moim pasażerem.

— Nie rozumie pan. Jeśli odmówi pan zabrania don Nica-nora Estrady, nigdzie już pan nie polecą, ani w Patagonii, ani na Ziemi Ognistej, ani w



żadnym cholernym zakątku ziemi.

Zarządca nie skończył jeszcze mówić, kiedy jego towarzysze uchylili poły poncza, odsłaniając strzelby o obciętych lufach.

Czasem warto zrobić wyjątek. O tym rozmyślał Carlos I Tyle, lecąc w stronę estancii San Benito, mając u boku jednego ze zbirów jako drugiego pilota.

Don Nicanor Estrada oczekiwał go, cały siny i zamrożony, na katafalku ustawionym w chłodni estancii. Setki oprawionych baranów towarzyszyły swemu panu. Kilku gauczów i parobków, paląc i popijając matę, wpatrywało się bojaźliwie w nieboszczyka.

— Jest ogromny — zauważył Carlos I Tyle.

— Jak wszyscy z rodziny Estrada. Metr dziewięćdziesiąt osiem — powiedział zarządca.

— Nie zmieści się. Żaden taki ładunek nie wejdzie do Pippera— oświadczył pilot.

ss

—Więcej szacunku dla don Nicanora—warknął zarządca.

— Posłuchajcie: ja rozumiem, że chcecie zrobić, co w waszej mocy, żeby wysłać tę garmażerię do Comodoro Rivada-via, ale musicie zrozumieć, że to niemożliwe. Ten samolot to czteroosobowy Pipper. Kabina od pulpitu sterowniczego do tylnej ściany ma metr siedemdziesiąt. Nie wejdzie nawet na

skos.

— Może go pan pochylić albo posadzić. Tak się zmieści.

— Też nie. Tylne siedzenie ma dziewięćdziesiąt centymetrów głębokości.

Nie da się go pochylić, a co do usadzenia: od jak dawna nie żyje?

— Od czterech dni. Jakie to ma znaczenie?

— Cztery dni! Jest sztywny jak słup z powodu zamrożenia i tego, co nazywa się rigor mortis. Musielibyście przetrącić mu kark, a nie sądzę, żeby rodzina była tym zachwycona.

— Jasna cholera, ma rację — przytaknął zarządca. Nieboszczyk był nie tylko ogromny, ale i bardzo otyły.

Ważył dobre sto dwadzieścia kilo, i to bez ubrania, a z całym odświętnym przyodziewkiem — srebrnymi ostrogami, kufrem z akordeonem, chiripa, skórzanym pasem nabijanym srebrem, nożem i ponczo — ponad sto pięćdziesiąt kilo.

— Słuchaj pan, a dałoby się częściowo usunąć dach kabiny? — zaproponował zarządca.

— Można i cały, ale wtedy ja zamarznę.

— Tylko kawałek. Tak, żeby się zmieściło ciało. Może pan lecieć nisko.

— Pan chyba zwariował. A może mam go zabrać stojącego na baczność?

— Tak czy inaczej, zabierzesz go, skurwysynu! — ryknął zarządca, rozplaszczając mu nos lufą strzelby kaliber trzydzieści osiem.

I zabrał go. Rozmontowali drzwiczki od strony drugiego pilota, przymocowali nieboszczyka do deski i wpakowali do Pippera. Umieścili go nogami do przodu, mocując je do podstawy tylnego fotela. Dolna część nieboszczyka wspierała się o oparcie fotela drugiego pilota, a tułów, ramiona i głowa wystawały na zewnątrz. Umieszczono go na wznak i miało się wrażenie, że wpatruje się intensywnie w prawe skrzydło samolotu. Na koniec owinęli głowę nieboszczyka plastikową torbą, na której widniał napis: „San Benito. Najlepsze mięso”.

Jeszcze przed startem Carlos I Tyle pomyślał, że te powietrzne usługi pogrzebowe to dobry interes. Zarządca wręczył mu czek na pięćdziesiąt tysięcy chilijskich pesos, a w Comodoro Rivadavia czekało na niego drugie tyle.

Spojrzał na wskaźnik paliwa: full. Parobcy z estancii zaopatrzyli go w paliwo na pierwszy etap podróży, aż do Rio Gallegos. Trzysta kilometrów lotu na niskiej wysokości, on okutany jak Eskimos, z pasażerem wystającym do połowy ciała na zewnątrz.

Wystartował o drugiej po południu. Na szczęście pogoda była dobra, chociaż silny wiatr od Atlantyku potrząsał awionetką jak shakerem. Po trzech kwadransach lotu dostrzegł przylądek Espiritu Santo i przeciął Cieśninę Magellana. Śpiewał na całe gardło. Wyczerpawszy repertuar tang, cumbii oraz bolero, przeszedł na krajowe piosenki i niemal zapomniane szkolne hymny. Musiał śpiewać na cały głos, żeby nie zamarznąć.

O piątej zapadła już noc i piana u wybrzeża atlantyckiego była ledwie widoczna. Kiedy poprosił o zgodę na lądowanie w Rio Gallegos, zapytano go, czy ma ładunek do oclenia.

— Nie mam ładunku. Wiozę nieboszczyka. Over.

— Masz zaświadczenie lekarskie o przyczynie zgonu? Over.

— Nie. Nikt mi o tym nie mówił. Over.

— Więc wracaj po zaświadczenie. Over.

— Garmazeria nazywa się Nicanor Estrada. Over. Wszechwładny pan, don Nicanor, wpływowy nawet po

śmierci. Na pasie startowym czekał na niego ksiądz, który omal nie dostał zawału, widząc, jak niewygodnie podróżował pasażer.

— Trzeba go wyciągnąć, na Boga, trzeba go wyciągnąć i natychmiast przewieźć do katedry! — krzyczał ksiądz.

— Nie ma mowy. Tu zostanie. Na świeżym powietrzu — oświadczył Carlos I Tyle.

— Co za zwierzę z pana! Toż chodzi o don Nicanora Estradę! — zawył ksiądz.

Uli

— Jeśli zabierze go pan do kościoła, rozmrozi się i zacznie gnić. Sądzę, że rodzina chce odebrać don Nicanora w nieskazitelnym stanie.

Carlos I Tyle został wprawdzie ekskomunikowany przez księdza, ale przekonał go do negocjacji: msza tak, ale tu, na miejscu, z nieboszczykiem w samolocie. I tak oddano posługę religijną don Nicanorowi Estradzie na pasie startowym, w temperaturze minus dziesięciu stopni.

Owej nocy Carlos I Tyle spał głębokim snem, nakryty kołdrami z trzech łóżek, w pensjonacie opodal lotniska. Następnego dnia o szóstej rano wlał do gardła litr kawy, zabrał dwa termosy wrzącego naparu i o brzasku wystartował, rozpoczynając tym samym drugi etap lotu ku Rio Chico, który najpierw przebiegać miał nad Atlantykiem i zatoką Bahia Grandę, aż do latarni morskiej na przylądku San Francisco de Paula, wyznaczającej punkt, gdzie miał wykonać zwrot. Było to dwieście kilometrów spokojnego lotu, ponieważ potrzeba rozgrzania się zmusiła jego pamięć do odtworzenia piosenek Moustakiego, które wykrzykiwał na całe gardło między jednym bolero a drugim.

O dziesiątej rano, po uzupełnieniu w Rio Chico zapasów żywności, rozpoczął trzeci etap pogrzebowego tour, którego celem było Las Martinetas, osada odległa o kolejne dwieście kilometrów, dość oddalona

od wybrzeża. Leciał wzdłuż szosy, prowadzącej do Comodoro Rivadavia. W dole migąła pampa, niezliczone owce i stada nandu, wyglądające z wysoka jak groteskowe kurczaki z zadartymi ogonami. Nandu umykały, przestraszone warkotem silnika Pippera.

O drugiej po południu Carlos I Tyle wraz z don Nicano-rem Estradą rozpoczęli ostatni etap podróży. Jeszcze tylko dwieście kilometrów i dotrą do Comodoro Rivadavia. Na niebie nie było ani jednej chmurki, promienie słoneczne odbijały się w zamrożonym kapturze nieboszczyka, a Carlos I Tyle śpiewał, chrypiąc coraz bardziej. Poprzysiągł sobie, że po powrocie do Chile weźmie lekcje śpiewu.

Gdy prosił o zgodę na lądowanie, wieża kontrolna w Comodoro Rivadavia zapytała go, dlaczego leci tak nisko. Z trudem wykrył go radar Argentyńskich Sił Powietrznych.

— Bo wiozę zmarłego. To bardzo szacowny zmarły. Over.

— Kim, do diabła, jesteś? Over.

— Pogrzebowa Linia Lotnicza. Over — odpowiedział Carlos I Tyle patetyczną resztką głosu, jaka mu jeszcze została.

Na lotnisku rodzina i władze lokalne powitały go omdleniami, inwektywami i groźbami, które po jego wyjaśnieniach przekształciły się w zdawkowe przeprosiny. Czekając na drugi czek, Carlos I Tyle zmuszony był przyłączyć się do orszaku żałobnego.

Na cmentarzu czekała go niespodzianka. Po uroczystej mszy orszak skierował się do rodzinnego grobowca, który był rodzajem pałacyku z białego marmuru. Po wyciągnięciu nieboszczyka z trumny za pomocą dźwigu uniesiono go w górę, podtrzymując pod pachami, nałożono mu gauczow-ski kapelusz na głowę i spuszczone do ogromnej fosy. Carlos I

Tyle spojrział w dół. Był tam zabalsamowany koń. I tak został pochowany don Nicanor Estrada: w grobie dosiadał własnego konia.

— A co było potem? — pytam go, gdy tymczasem wichura wzmaga się coraz bardziej.

— Wziąłem pieniądze, pożegnałem się z krewniakami i wróciłem. Dołóż do ognia. Poszukam kawałka mięsa, żeby wrzucić na ruszt — mówi Carlos I Tyle, oddalając się niespiesznie.

To najlepszy i najdawniejszy mój przyjaciel. Wiele razy, przebywając daleko od Południa świata, myślę o nim i drzę, że coś mogło mu się przytrafić. Teraz też się niepokoję wgnieceniami w kadłubie Pippera.

Carlos I Tyle wraca z jagnięcymi żeberkami.

— Co masz zamiar robić, Carlitos?

— Upiec mięso.

— Nie, pytam, co dalej. Jutro, później, sam nie wiem.

— Latać. Jak tylko poprawi się pogoda, zaproszę cię na przelot nad zatoką Elefantes. Przyjechałeś tu, żeby zobaczyć wieloryby, więc je zobaczysz — mówi Carlos I Tyle. Rzucając na mięso gałązki rozmarynu, patrzy swoimi dziecięcymi (K/y ma raz w ogień, raz na mnie, raz na samolot, który niczym jeszcze jeden kompan także rozkoszuje się ciepłem hangaru, bezpieczny od deszczu padającego na patagońską ziemię.

8

Zima zaskoczyła mnie w Puerto Natales. Jeszcze czterdzieści osiem godzin temu spacerowałem plażą nad zatoką Al-mirante Montt, podziwiając zachód słońca, wieńczący kwietniowy dzień. Tymczasem wczoraj zaczął padać obfity śnieg i temperatura gwałtownie spadła z sześciu stopni do minus czterech. W radiu mówią, że lotnisko jest

zamknięte. Niełatwo będzie stąd wyjechać.

Puerto Natales położone jest na wschodnim brzegu zatoki Almirante Montt. Na zachodzie ciągnie się dwustupięć-dziesięciokilometrowa sieć kanałów, aż do Cieśniny Nelsona i Pacyfiku. Jedynie chilijscy marynarze mają odwagę zapuścić się w te wąskie przesmyki, gdzie czai się mroczna śmierć: bryły lodu, które przyływy morza wyrywają z lodowców, niejednokrotnie tarasują całymi miesiącami kanały.

Zimą niemożliwe jest opuszczenie Puerto Montt drogą morską. Trzeba wy dostać się lądem, przejść granicę i dotrzeć do argentyńskiego miasta El Turbio.

Stąd odjeżdża najbardziej południowy ze wszystkich pociągów, prawdziwy Express Patagonia, który po dwustu czterdziestu kilometrach trasy, łączącej miasta El Zurdo i Bellavi-sta, dociera do Rio Gallegos, na wybrzeżu atlantyckim.

Skład, złożony z dwóch wagonów pasażerskich i dwóch towarowych, ciągnie stara parowa lokomotywa, wyprodukowana w Japonii na początku lat trzydziestych. W każdym wagonie pasażerskim są dwie długie drewniane ławy, ciągnące się przez cały wagon. W kącie jest piecyk, do którego sami pasażerowie muszą stale dorzucać drewna, a na ścianie powyżej znajduje się ryngraf z wizerunkiem Najświętszej Panienki z Lujan.

Towarzyszy mi niewielu pasażerów: kilku peonów z jakiejś estancii, którzy od razu rozciągnęli się na ławie i oddali chrapaniu, a także pastor protestancki, zaabsorbowany czytaniem Biblii, z nosem wetkniętym między kartki. Siedzi zgięty wpół, a ja mam ochotę pożyczyć mu moje okulary.

— Tu jest opał. Proszę pilnować, żeby nie wygasł ogień w piecyku —  
radzi konduktor.

— Dziękuję. Nie mam biletu. Chciałem kupić w El Turbio, ale nie mieli.

— Nie szkodzi. Bilet kupi pan na następnej stacji, w Jaramillo.

Śnieżny płaszcz okrył pastwiska, a pampa, zwykle w brązowo-zielonych plamach, nabiera widmowego wyglądu. Express Patagonia przemierza biały, monotony krajobraz, który skłania pastora do drzemki. Biblia wyslizguje mu się z rąk i spada na ziemię. Przypomina teraz czarną cegłę. Express Patagonia jest pociągiem owczarzy. Pod koniec zimy setki Chilotańczyków dojeżdżają do Puerto Natales, przekraczają granicę i pociągiem docierają do farm hodowlanych. To twardzi ludzie, którzy, uciekając przed chilozańskim ubóstwem i przysłowiową szorstkością wyspiarskich kobiet, szukają szczęścia na kontynencie. To twardzi ludzie, ale żyją krótko. Na Chiloe żywią się małżami i ziemniakami. W Patagonii baraniną i ziemniakami. Niewielu z nich jadło owoce — najwyżej jabłka — lub warzywa. Rak żołądka jest endemiczną chorobą Chilotańczyków. Stacja w Jaramillo to drewniany, pomalowany na czerwono budynek. Jego architektura ma lekki posmak skandynawski. Misternie rzeźbione gzymsy, zdobiące rynny, wrywa wiatr i niewiele ich ocalało, a te, które jeszcze pozostały, też spadną, bo już nie naprawi ich ani nie przymocuje żadna ręka.

W Jaramillo jest tylko stacja i kilka domów, ale pociąg zatrzymuje się tu, żeby nabrać wody. Na tym zdaje się kończyć znaczenie tego miejsca, ale przecież nadal żywa jest tu tragiczna pamięć Patagonii, pamięć zatrzymana na dworcowym zegarze, wskazującym: godzinę dziewiątą dwadzieścia osiem.



W roku 1921 w estancii La Anita wybuchł ostatni wielki bunt peonów i Indian. Ponadczterotysięczny tłum mężczyzn

y.s

i kobiet, z galisyjskim anarchistą Antoniem Soto na czele, zajął estancję i stację w Jaramillo. Ogłosili prawo do samostanowienia i przez kilka tygodni żyli iluzją, że stanowią pierwszą w Patagonii wolną komunę, którą nazwali w swej naiwności Republiką Rad. Odpowiedź posiadaczy ziemskich przyszła natychmiast. Rząd argentyński wysłał silny kontyngent wojska, aby rozprawić się z rebeliantami. Wojsko dotarło w południe 18 czerwca 1921 roku.

Mężczyźni okopali się na stacji w Jaramillo, a kobiety zajęły zabudowania estancii. Uzbrojeni byli w długie noże, kilka pistoletów zdobytych na zarządcach, lance i cepy. Żołnierze mieli strzelby i karabiny maszynowe. Dowódca kontyngentu, kapitan Varela, otoczył stację i postawił ultimatum, że rebelianci mają poddać się do dziesiątej wieczorem. Gwarantował życie tym, którzy złożą broń, ale nie dotrzymał terminu — było to przecież tylko słowo wojskowego — i o dziewiątej dwadzieścia osiem rozkazał otworzyć ogień.

Nigdy nie poznano dokładnej liczby ofiar. Setki ludzi zostały rozstrzelane, stojąc nad grobami, które wcześniej musieli sami wykopać. Spalono setki ciał; po pampie ciągnął się swąd zwęglonych zwłok. Dziewięta dwadzieścia osiem. Kula zatrzymała zegar i tak już zostało.

—Wiele razy go naprawiali, ale zawsze ktoś ustawia wskazówki na oznaczonej godzinie — mówi mi konduktor.

— To byli wywrotowcy. Ten, co im przewodził, ten typ z Galicji, przekonał ich, że własność jest kradzieżą. Dobrze zrobili, że wszystkich

wy tłukli. Nie można mieć litości dla wywrotowców — wtrąca pastor.

Peoni, którzy już się obudzili, odpowiadają mu obscenicznymi gestami, konduktor wzrusza ramionami, a pastor szuka schronienia w lekturze swej czarnej cegły.

Słońce już zachodzi, pogrążając się w Pacyfiku, a jego ostatnie promienie rzucają cień Expressu Patagonia na białą pampę, która pozostaje za nami, umykając ku Atlantykowi, tam gdzie zaczynają się dni.

Zawsze powracam do Rio Mayo, patagońskiego miasta, oddalonego o sto kilometrów od Coyhaique i kolejne dwieście pięćdziesiąt od Comodoro Rivadavia. Zawsze powracam i pierwsze, co robię po wyjściu z autobusu, ciężarówki albo innego pojazdu, który wysadza mnie na skrzyżowaniu dróg, to zamykam oczy w chmurze kurzu. Potem wolno je otwieram, zarzucam na ramię plecak i idę w stronę pewnego drewnianego, pięknie rzeźbionego budynku.

To dostojna ruina, niemy świadek lepszych czasów. Po drugiej stronie drzwi odsłania to, co było salą balową, kasynem, podium dla orkiestry, barem ze stołkami obitymi brązową skórą — teraz mocno już nadjedzoną przez kozy — i portretem królowej Wiktorii, dziełem malarza o osobliwym poczuciu anatomii, wieńczącym główną ścianę recepcji. Oczy brytyjskiej władczyni rozbiegają się na boki, niemal sięgając uszu, a nozdrza, bardzo afrykańskie w kroju, zajmują połowę twarzy.

„Salve Regina”, pozdrawiam ją i zanim się z nią pożegnam, siadam, by wypalić papierosa. Wiem, że na zewnątrz niezmiennie czekać będzie na mnie ktoś tutejszy. Tym razem jest to kobieta. Trzyma koszyk w ręku i patrzy na mnie złym wzrokiem.

— Pomylił się pan — mówi.

— To nie jest Hotel Angielski?

— Tak, ale od dziesięciu lat zamknięty. Od śmierci tego gringo — dodaje.

— Jak to? Kiedy zmarł mister Simpson? — znam tę historię, ale pytam kobietę, żeby mieć przyjemność posłuchania jeszcze jednej wersji.

— Dziesięć lat temu. Zamknął się z pięcioma kobietami, no, wie pan jakimi. I umarł, zboreźnik.

Pięć kobiet. Gdy byłem tu ostatni raz, jeden z tutejszych mówił mi o dwunastu francuskich prostytutkach. Być może legenda odchodzi w przeszłość. W każdym razie pewne jest to, że kiedy Thomas Simpson dowiedział się, że rak toczy jego kości, a lęka rz daje mu najwyżej trzy miesiące życia, ofia-

rował hotel swoim pracownikom, zatrzymując dla siebie wyłącznie apartament prezydencki. Kazał sobie podać pudła cygar hawańskich, beczkę szkockiej i zamknął się z nieokreśloną liczebnie grupą wesołych i dobrze opłaconych dam, których zadaniem było przyspieszenie jego śmierci w jak najprzyjemniejszy sposób.

Po tygodniu wieść o jego słodkiej agonii dotarła aż do Co-modoro Rivadavia. Kolonia angielska wysłała księdza, by położył kres skandalowi, ale gdy świątobliwy brother próbował wejść do apartamentu, zatrzymał go kawałek ołowiu kaliber czterdzieści pięć, który roztrzaskał mu nogę.

Simpson umarł tak, jak chciał, i hotel wkrótce potem poszedł w diabły.

— Na końcu ulicy jest inny hotel. Mogę pana zaprowadzić — informuje mnie kobieta.

Dziękuję jej i ruszam we wskazanym kierunku. Wiem, że chodzi o San Martin, najlepszy hotel w Patagonii.

Jest to narożna, jednopiętrowa kamienica. W tumanach kurzu, nieustannie

unoszącego się nad ulicą, widzę, że ktoś stoi wysoko na drabinie i przemaalowuje szyld na froncie budynku.

— Hej, przyjacielu! Pan jest właścicielem hotelu?! — wołam, zadzierając głowę.

— Gdybym był właścicielem, nie byłoby mnie tutaj! — odkrzykuje z góry.

— Może pan zawołać właściciela?! — znowu krzyczę z dołu.

— Nie ma go. Nie ma nikogo. Proszę wejść i poczęstować się matę — odpowiada malarz.

Idę za jego radą. Otwierając dwuskrzydłowe drzwi, dochodzę do wniosku, że to nie Argentyńczyk. Mówi ze zbyt śpiewnym akcentem.

Jadalnia nie zmieniła się przez ostatnie dwa lata. Te same żeliwne stoły, pokryte blatem z płyty wiórowej, te same drewniane krzesła, a na każdym stole kokieteryjny wazon z plastikowymi różami i goździkami. Za drewnianym barem rzędem stoją butelki z winem, grapą i caną. Na honorowym miejscu, w zdobnych ramach, portret Carlosa Gardela, prezentującego olśniewające uzębienie.

Hotel San Martin. Do roku 1978 budynek służył jako skład miejski. W tym samym roku do Rio Mayo przybyły dwie delegacje polityczne: Libańczyk Gerardo Garib, który nie miał nic z Libańczyka, był bowiem Argentyńczykiem z Buenos Aires, działaczem związkowym, nieskorumpowanym przez peronizm, a wywodził się z rodziny Palestyńczyków, oraz jego żona, Libanka, Susana Grimaldi, też niemająca nic z Libanki, tyle że wyszła za Libańczyka, była bowiem Urugwajką z Colonii, nauczycielką muzyki, która umiała wybornie kląć po włosku, w

języku swoich przodków.

Susanie i Gerardowi dopisało szczęście w okresie dyktatury wojskowej. Mieli za sobą potworne doświadczenia nielegalnych zatrzymań, porwań, tortur, ale uszli z życiem z koszmarne go labiryntu, skazani na pięć lat zsyłki do Patagonii.

Obydwoje byli zaradni, toteż już w półtora roku po przybyciu do Patagonii Susana dawała lekcje muzyki kilkunastu adeptom Gardela, a Gerardowi udało się wynająć budynek na hotel.

— Poczęstował się pan matę! — wchodzi malarz i przerywa moje rozmyślenia.

— Nie. Właśnie miałem taki zamiar.

— Jest pan głodny? Jeśli pan chce, zrobię panupanqueques. Przyrządzam najlepsze w 'Patagoniipanqueques. Te moje naleśniki są sławne.

— Pan jest Chilijczykiem?

— Z Chiloe. Przyjechałem do pracy na estancii, ale zachorowałem i Libańczyk zatrudnił mnie jako kucharza, barmana i szefa restauracji.

— Gdzie jest Libańczyk? A Susana?

— Widzę, że się znacie. Poszli na pogrzeb.

— Pogrzeb? Czyj pogrzeb?

— Takiego starego. Mówili na niego Carlitos.

— Carlitos Majsterkowicz?

— Ten sam. Też go pan znał?

Carlitos Majsterkowicz. W roku 1988 w Sztokholmie pewna organizacja, która przyznaje alternatywną Nagrodę Nobla, postanowiła uhonorować tajemniczego profesora, zwanego Klausem Kucimavicem, alternatywną Nagrodą Nobla

w dziedzinie fizyki. Ów profesor Kucimavic rozesłał w roku 1980 liczne listy do europejskich uniwersytetów, w których informował, że według jego badań, przeprowadzonych w Patagonii, tworzy się niebezpieczna dziura w warstwie ozonowej, chroniącej atmosferę. Podał rozmiary dziury ozonowej i jej przewidywane powiększanie się z taką dokładnością, że wyniki potwierdziła w osiem lat później NASA i kilka instytutów badawczych w Europie. Profesor Kucimavic nie mógł odebrać nagrody, nikt bowiem nie wiedział, gdzie go szukać. Na listach jako adres nadawcy widniało jedynie — prowincja Chubut, Argentina, i tyle.

Jedno z pism niemieckich wysłało mnie do Patagonii z misją odnalezienia tajemniczego profesora. Przemierzyłem bez powodzenia liczne osady i miasta, aż w końcu dotarłem do Rio Mayo. Tu właśnie świeżo poznani Susana i Gerardo zaprosili mnie pewnego wieczoru na partyjkę truco, zorganizowaną przez Carlosa Alberta Valente, jednego z najbardziej oryginalnych i zacnych gauczów, jakich znałem. Graliśmy i bawiliśmy się do późnej nocy, a kiedy po kolacji omawialiśmy nasze sprawy, wyjaśniłem Valentemu powody mojej obecności w Rio Mayo.

— Mówiłeś, że jak się nazywa?

— Kucimavic. Klaus Kucimavic.

— Carlitos Majsterkowicz. Tak się nazywa, Carlitos Majsterkowicz.

— Kim jest Carlitos Majsterkowicz?

— Tym, kogo szukasz. Zwariowany starzec, który zjawił się tu kopę lat temu. Zwariowany, ale nie głupi. Robi wynalazki. Dla mnie, na przykład, wynalazł system, który pozwala przerabiać krowie gówno na gaz. Mam gratis ciepłą wodę. Stary nazywa to biogazem. Tak. Zwariowany, ale nie głupi. Dużo czasu spędza na obserwowaniu nieba i mierzeniu jakimiś

lusterkami promieni słonecznych. Mówi, że za kilka lat wszyscy oślepiemy.

Następnego dnia poznałem Kucimavica. Był to wychudzony starowina, odziany w poplamiony smarami fartuch mechanika. Kiedy go odwiedziłem, naprawiał, a może ulepszał system natrysków służących do odrobaczania owiec.

Od pierwszej chwili zaprzeczał, że nazywa się Klaus Kucimavic, i zapewniał swoją osobliwą hiszpańszczyzną, że przez całe życie był Argentyńczykiem.

— Jak możesz być Argentyńczykiem, skoro gadasz jak zwierzę — zauważył Valente.

— Ja mówić po hiszpańsku lepszy niż ty, słośliwcze — odpowiedział stary.

Valente miał w swoim ręku jego dokument tożsamości, wydany przez władze argentyńskie. Stary zademonstrował mu go kiedyś. Gdy już nie mógł wyprzeć się swej tożsamości, zgodził się, choć bardzo niechętnie, na rozmowę.

Urodził się w Słowenii. W czasie drugiej wojny światowej walczył na Bałkanach w szeregach chorwackich ustaszów, po stronie nazistów. Pod koniec wojny uniknął sądu partyzantów Tity i wyemigrował do Argentyny, zdecydowany rozpocząć nowe życie w Ameryce Południowej, ale wkrótce przekonał się, że Izraelczycy po udanym porwaniu Adolfa Eichmanna coraz energiczniej zaczęli ścigać w Argentynie byłych nazistów i kolaborantów. I tak Klaus Kucimavic porzucił katedrę fizyki na uniwersytecie w Buenos Aires i przepadł w Patagonii, w tej części świata, gdzie nikt nie zadaje pytań, a przeszłość jest całkowicie prywatną sprawą.

W Rio Mayo kochali go wszyscy. Był bardzo uczynny i mimo opinii gbura bez proszenia naprawiał radia, żelazka, uszczelki, silniki, i nigdy nie brał za to grosza.

Potwierdził mi wyniki badań dziury ozonowej, ale kategorycznie odmówił rozmowy na temat nagrody.

— Niech pan powie tym dupkom, żeby zamiast przyznawać nagrody, powstrzymali zanieczyszczenie powietrza. Nagrody są dobre na konkursach piękności — stwierdził rozsierdzony.

Miałem w ręku dosyć materiałów na długi reportaż o odkrywcy dziury ozonowej, ale gdybym to opublikował, naruszyłbym harmonię, w jakiej żyli mieszkańcy Rio Mayo, zatem zapomniałem o temacie, a Kucimavic stał się również dla mnie Carlitosem Majsterkowiczem.

— Odszedł od nas Carlitos — powiedział Libańczyk Ga-rib, obejmując mnie.

KU

— Wiedziałam, że wrócisz. Witaj — pozdrowiła mnie

Susana.

Tego popołudnia wcześniej usiedliśmy za stołem. Przekonałem się, że Chilotańczyk jest istotnie dobrym kucharzem, a jego panqueques są niezrównane. Rozmawialiśmy o naszym życiu. Ja mogłem już wrócić do Chile, ale nadal mieszkalem w Europie. Oni mogli wrócić do Buenos Aires, ale nadal mieszkali w Patagonii. Ta rozmowa z przyjaciółmi utwierdziła mnie raz jeszcze w przekonaniu, że nasze miejsce jest tam, gdzie nam dobrze.

— Wiesz, kiedy ostatnim razem żegnaliśmy się, sprawiałeś wrażenie osoby, którą coś gryzie. Domyślałam się, że rezygnacja z napisania



reportażu o Carlitosie wiele cię kosztowała — powiedziała Susana, napelniając kieliszki grapą.

— Tak, biłem się z myślami. Nie przestawałem zadawać sobie pytania: a jeśli Carlitos istotnie był zbrodniarzem wojennym, takim jak ci faszyci, którzy spaprali nam życie?

— Nie. Carlitos był z tych, co walczą po niewłaściwej stronie. Nie był zbrodniarzem — zapewnił Libańczyk.

— Skąd ta pewność?

— Patagonia uczy cię, jak poznawać ludzi po ich spojrzeniu. Carlitos był krótkowidzem i dlatego nosił te dupne cyn-gle, ale kiedy rozmawiał z przyjaciółmi, zdejmował je i patrzył prosto w oczy. Jego spojrzenie było czyste.

— Powtórz, jakie były jego ostatnie słowa — poprosiła Susana.

—Jego ostatnie słowa. Dużo by mówić. Wszedł ze śpiączki kilka minut przed śmiercią. Wziął mnie za rękę i mówi: „Niech to szlag, Libańczyku, niech to szlag! Nie naprawiłem ci lodówki”. Chwytasz? Gdyby Carlitos nie miał czystego sumienia, nie umarłby zatroskany o moją lodówkę.

Susana wstała od stołu, żeby obsłużyć klientów, i otworzyła okna od ulicy. Wicher ustał, tumany kurzu rozwiały się i odsłoniły domy po drugiej stronie. O tej spokojnej porze nic nie dzieliło ludzi od cichej, patagońskiej nocy.

102

10

„Proszę zostawić butelkę”, mówię do kelnera, który właśnie postawił

przede mną szklanke rumu. Piję. Rum leczy ospałość i znużenie wywołane gorącym, parnym powietrzem, nadciągającym od dżungli.

Jestem w Shell, osadzie na skraju Amazonii, w Ekwadorze, w barze pozbawionym drzwi i okien. Wyglądam na zewnątrz i widzę, że pióropusze palm na jedynej uliczce są nieruchome, również pogrążone w letargu pod wolnym od chmur niebem.

Dobre niebo na lot z kapitanem Palaciosem. Do diabła, jak on miał na imię? Dla tutejszych lotnik, który zabijał godziny spędzone na ziemi, wylegając się w hamaku i opróżniając kolejne butelki rumu San Miguel, był po prostu kapitanem Palaciosem. Tak samo nazywano go w setkach domów i amazońskich osadach, które odwiedził wraz ze swoją rozklekotaną awionetką. A współnik? Jak się nazywał współnik?

Poznałem ich pewnego popołudnia, kiedy miałem polecieć z Shell do San Sebastian del Coca. Ciężarówka zostawiła mnie w miejscu, które nosiło miano głównej ulicy. Jak tylko wysiadłem, poczułem, że moje nogi grzęzną w błocie, a jednocześnie zauważyłem, że nie jestem sam: liczne świnie z upodobaniem tarzały się w błocku.

— Jak dojechać do lotniska? — zapytałem kierowcę ciężarówki.

— Maje pan pod nosem, man. To wszystko z boku drogi to lotnisko — powiedział, wskazując palcem rozległe, błotniste pole.

Na skraju pola widniała drewniana budowla, kryta cynkowym dachem. Ruszyłem w tym kierunku i kiedy się zbliżyłem, dobiegł mnie głos sprawozdawcy z jakiegoś meczu piłkarskiego.

Rozsuwane drzwi tej konstrukcji były otwarte. W środku ogromnej postury Mulat wpatrywał się w jakieś metalowe rurki, na wpół zanurzone w beczce z olejem. Jedną ręką wolno poruszał nimi, zlecając benzynie

zadanie obmycia ich z żużlu, a w drugiej trzymał długie cygaro. Ruchy jego głowy świadczyły o tym, że kategorycznie nie zgadza się z tym, co mówi sprawozdawca. Zielona zasłona, rozciągnięta od ściany do ściany, przedzielała pomieszczenie, zasłaniając jego tylną część. Mulat spojrział na mnie bez żadnego zainteresowania i ponownie skupił uwagę na meczu.

— Dzień dobry — pozdrowiłem go.

— To rzecz gustu. Co pana sprowadza, mister!

— Chcę lecieć do Coca. Może mi pan powiedzieć, jak to zrobić?

— Pewnie. Żeby polecieć, wystarczy pomachać rękoma, wziąć rozbieg i podkurzyć nogi. Coś jeszcze?

— Nie pieprz, stary. Muszę polecieć do Coca.

— Pewnie, mister. Niech pan pogada z kapitanem Pala-ciosem.

— Gdzie go znajdę?

— A gdzie ma być, jak nie w barze Cataliny. Pochluptaj pan przez błocko aż do końca ulicy. I uwaga na świnię. To niebywałe skurwysyny.

Barem Cataliny był szalas o powierzchni jakichś trzydziestu metrów kwadratowych. W głębi znajdował się kontuar, przy którym siedzieli mężczyźni, popijając i rozmawiając o swoich sprawach. Pośrodku wisiał jutowy hamak, a w nim tkwił siwy facet, pogrążony w głębokim śnie.

Obok, z wyrazem bezgranicznej cierpliwości, jakaś kobieta i mężczyzna czekali na coś, a z braku innego zajęcia kręcili obrotowymi stołkami.

Kobieta ścisnęła w rękę worek, z którego wychylały się dwa małe prosiaki. Mężczyzna trzymał nogę na drucianej klatce, w której kogut o wściekłych ślepiach patrzył nienawistnym wzrokiem na prosiaki.

— Szukam kapitana Palaciososa — powiedziałem do kobiety stojącej za kontuarem.

— Tu go masz, ojczulku — odpowiedziała, wskazując na hamak.

— Może go pani obudzić?

— Zależy po co. Jest wściekły, kiedy się go budzi bez powodu.

— Muszę lecieć do Coca...

Nie zdążyłem nic więcej powiedzieć. Kobieta od prosiaków podskoczyła jak sprężyna i zaczęła potrząsać hamakiem.

KI-:

— Co jest, do jasnej cholery? — wymamrotał pilot, zerwany ze snu.

— Ma pan następnego pasażera. Już jest komplet. Tera możemy lecieć— powiedziała kobieta, nie przestając potrząsać hamakiem.

Kapitan Palacios przeciągnął się, przetarł oczy, ziewnął i zwłóknął się z hamaka. Mierzył nie więcej niż metr sześćdziesiąt i miał na sobie wysłużoną kurtkę lotniczą z dużą ilością suwaków.

— Jaka jest pogoda? — zapytał, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

— Gówniana — odpowiedział jeden z mężczyzn, siedzących przy kontuarze.

— Mogło być gorzej. No to lecimy — stwierdził Palacios.

Wyszedł z baru pewnym krokiem. Za nim podążyła kobieta od prosiąt, mężczyzna od koguta i ja. Na lotnisku Mulat, który wcześniej wysłał mnie do baru, nadal zajęty był metalowymi rurkami i futbolem.

— Wspólniku, przyjmij należność — rozkazał Palacios, jak tylko weszliśmy.

— Co? Będziesz leciał w taką pogodę? — zdziwił się Mulat, wskazując palcem na sufit. Nieco wyżej szare chmury zapowiadały burzę.

— Skoro latają sępy, a są brzydsze, nie widzę powodu, żebym ja nie mógł

polecieć — odrzekł Palacios.

— Co za uparty facet. No dobrze, podajcie mi swoje nazwiska. To bardzo praktyczne przy identyfikacji zwłok w razie katastrofy. Razem dwieście pięćdziesiąt sures na twarz — powiedział Mulat.

Kobieta od prosiąt wybierała się do Mondana, osady położonej jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów od Shell, dokąd można było dotrzeć także innymi sposobami: najpierw na piechotę do Chontapunta, potem łódką przez rzekę Napo, pod warunkiem że będzie ładna pogoda i jest się wystarczająco cierpliwym, by odbyć podróż trwającą dwa lub trzy dni. Mężczyzna od koguta chciał dojechać do San Jose de Payamino, osady nad rzeką Payamino. W całej Amazonii słynna jest hodowla kogutów w San Jose de Payamino. Gra

idzie tu o wysokie stawki i wiele fortun, zdobytych przez ga-rimpeiros po znojnym latach, spędzonych na niszczeniu dżungli i własnego życia, wycieka wraz z krwią pokonanego koguta, pod baczynym okiem zawodowych szulerów. Nasz pasażer chciał spróbować szczęścia ze swym bitnym kogutem. Była to prawdziwa maszyna do zabijania, ten niewielki kogut o miedzianym upierzeniu. Tak twierdził jego właściciel, zapewniając, że w poprzednim tygodniu w Macas kogut wy-pruł flaki ośmiu przeciwnikom. Mężczyzna również mógł podróżować lądem i wodą, ale zabrałoby mu to pięć dni i zmęczyłoby koguta.

— Na co czekacie? W drogę! — rozkazał Palacios, rozsuwając zieloną zasłonę. Za nią była awionetka. Czteroosobowa, stara i odrapana Cessna. Wszyscy mężczyźni, a ja wśród nich, pociągnęliśmy za sznury przymocowane do podwozia i wywlekliśmy tego grata na pas startowy. Spoglądałem na ogromne łąty na kadłubie i jak nigdy przedtem odczułem

potrzebę wypowiedziania się, ale musiałem dostać się do Coca, sto osiemdziesiąt kilometrów od Shell, a drogą lotniczą można było dostać się tam najszybciej.

Powtarzając sobie w myślach litanie — „te samoloty są bezpieczne, bardzo bezpieczne, całkowicie bezpieczne” — wszedłem na pokład. Dostało mi się miejsce drugiego pilota. Za moimi plecami nerwowo pochrząkiwały prosiaki. Kogut pozostawał niewzruszony wobec zamieszania poprzedzającego odlot.

— San Sebastian... San Sebastian... odbiór... Kapitan Palacios rozmawiał z mikrofonem. Odpowiedzią

była tylko seria świstów. Zaczął kręcić gałkami, ale uzyskał jedynie to, że świsty stały się jeszcze głośniejsze. Wreszcie odłożył mikrofon.

— Mówiłem ci, żebyś naprawił to cholerstwo. Mówiłem ci.

— Tego gówna nie da się naprawić. Jestem mechanikiem, a nie cudotwórcą — oświadczył Mulat.

— W porządku. Nic się nie da zrobić. Tak czy owak, zobaczą, jak nadlatujemy.

Awionetka zaczęła toczyć się przez błoto, a kiedy spojrzałem na tablicę przyrządów, miałem ochotę wyskoczyć.

Nigdy wcześniej nie widziałem tak skromnego wyposażenia. Pośród rozmaitych pustych otworów i resztek kabli, niewątpliwie będących niegdyś przyrządami nawigacyjnymi, widać było wirującą wskazówkę wysokościomierza i wskaźnika paliwa. „Horyzont”, czyli statecznik poziomy, który powinien biec równolegle do ziemi, stał niemal w pozycji pionowej.

— Niech pan spojrzy... wysiadł horyzont — wskazałem, ukrywając

panikę.

— Nieważne. Niebo jest na górze, ziemia na dole. Cała reszta to durnoty

— stwierdził Palacios.

Wystartowaliśmy. Awionetka uniosła się sto pięćdziesiąt metrów nad ziemię i miękko poszybowała dalej na tej wysokości. Lecieliśmy pod gęstym, szarym zwałem chmur. Gorące, burzowe powietrze wtargnęło do środka. Z niejaką ulgą przekonałem się, że kompas działa: zmierzaliśmy na północny wschód. Po dwudziestu minutach dostrzegliśmy zieloną serpentynę rzeki.

— Niech pan spojrzy, jakie чудо: Huapuno. Już jesteśmy nad Amazonią!

— wykrzyknął pilot.

— Myślałem, że Amazonia zaczyna się nieco dalej na wschód —  
stwierdziłem.

— Durnoty polityków. Amazonia zaczyna się z pierwszymi kroplami wody, które wpadają do tej wielkiej rzeki. Coś pan zgubił w Coca, mister!

— Nie. Jadę odwiedzić przyjaciół.

— Słusznie. Nigdy nie należy zapominać o przyjaciółach. Nawet jeśli by znaleźli się w samiutkim piekle, trzeba ich odwiedzić. Myślałem, że jest pan garimpeiro. Nie lubię ich.

— Też ich nie lubię.

— To istna plaga. Na wieść o jakimkolwiek błyszczącym gówieńku przybywają tysiącami. Czasem mam ochotę załadować trujący gaz do awionetki i rozpylić na nich. Jak się panu podoba lot?

— Na razie w porządku. Nie mam zastrzeżeń.

Plan lotu kapitana Palaciososa był dość prosty: leciał poniżej chmur, wzdłuż rzeki Huapuno, która od dopływu Araju-no rozrasta się, płynąc w kierunku

północno-wschodnim.

107

I

1

W dole dżungla przypominała odpoczywające olbrzymie zwierzę, z rezygnacją czekające na nadchodzącą ulewę.

— Pan nie jest stąd, man.

— Nie. Jestem Chilijczykiem.

— Aha. Po dwakroć aha.

— Co to znaczy?

— To, że jest pan tutaj albo dlatego, że jest kopnięty, albo dlatego, że nie może pan mieszkać w swoim kraju. Podoba mi się każda z tych możliwości. Niech pan spojrzy na flamingi, tam w dole. Widział pan piękniejsze ptaki?

Miał całkowitą rację. Tylko wariat mógł wsiąść do takiej awionetki jak ta; ja istotnie nie mogłem mieszkać w moim kraju, a tam, poniżej, na rozlewisku utworzonym przez Hua-puno, stado pięknych flamingów wyczekiwało burzy.

Po godzinie lotu zobaczyliśmy prześwit w dżungli, na zachodnim brzegu rzeki Napo, gdzie przycupnęło cztery czy pięć chat z trzciny i liści palmowych. To była Mondana. Zeszliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów niżej i zaczęliśmy zataczać koła.

— Bez obaw. To po to, żeby chłopaki zdążyli przygotować lądowisko.

W dole kilku ludzi pobiegło w stronę piaszczystej łąchy, usunęli kamienie i gałęzie, po czym, machając rękoma, dali nam znak, że możemy lądować. Palacios udowodnił, że mógłby wylądować nawet na rozpostartym



ręczniku.

Po wysadzeniu kobiety i jej prosiaków i po przyjęciu na pokład ładunków zamówionych przez tutejszych mieszkańców przystąpiliśmy do kolejnego startu. Palacios skierował maszynę na skraj piasku, nabrał prędkości i wzbiliśmy się w górę, niemal dotykając kołami wody. W kilka minut później znów lecieliśmy wzdłuż rzeki Napo.

— Ciągłe jest pan zdenerwowany, mani — dopytywał się ironicznie Palacios.

— Nie tak, jak na początku. Od dawna pan lata? Pytam, bo start na plaży był znakomity.

— A ja się zesrałem ze strachu — odezwał się z tyłu mężczyzna z kogutem.

— Jak dawno? Sporo czasu. Już zdążyłem zapomnieć — odpowiedział kapitan Palacios.

los

— Awionetka należy do pana?

— Do mnie? Powiedzmy, że należymy do siebie. Bez niej nie wiedziałbym, co robić, a ona beze mnie nigdzie się nie ruszy. Niech pan spojrzy, jaka piękna jest Napo. W tym regionie dwa razy do roku zalewa ogromne połacie dżungli i można wtedy łowić ogromne bagres.

— O tak. Niedawno widziałem, jak jeden złowił sztukę, co ważyła z siedemdziesiąt kilo — powiedział mężczyzna z kogutem.

— Czemu się tak pan interesuje tą awionetką? Zna się pan na samolotach?

— Trochę. Silnik nieźle chodzi.

— Pewnie, man. Mam dobrego mechanika. Mulat, którego widział pan w Shell, jest moim wspólnikiem i dba o to, żeby wszystko szło, jak trzeba. Ta

maszyna należała kiedyś do pewnych księży, którzy mieli awaryjne lądowanie koło Macas. Usiedli na drzewie i tam zostawili samolot. Kupiliśmy go jako złom, a w parę miesięcy potem znowu latał. Lądowisko w San Jose de Payamino było szerokim prześwitem w dżungli, wyrąbanym maczetami. Służyło jednocześnie jako boisko do gry w piłkę, targ i rynek. Tu wysadziliśmy mężczyznę z kogutem. Życzyłem mu powodzenia. Zatankowaliśmy paliwo i kontynuowaliśmy lot wzdłuż rzeki Payamino, aż do miejsca, gdzie zbiera wody Puno, a potem, cały czas podążając na północny wschód, przelecieliśmy nad Puerto San Francisco de Orellana, zobaczyliśmy dopływy Puno i Coca, wpadające do wielkiej rzeki Napo, która skręca na południowy wschód. Jej wody toczą się przez tysiąc trzysta kilometrów, aby zasilić bystry nurt dumnej Amazonki. Podczas ostatniego etapu podróży lotnik opowiedział mi kilka epizodów ze swego życia. Był pilotem Texaco, bardzo dobrze opłacanym, ale pewnego dnia stwierdził, że nie lubi gringos i jest zakochany w Amazonii. — Ona jest jak kobieta, man. Włazi do środka, za skórę. O nic nie prosi, ale robi się dla niej wszystko, byle ją zadowolić. W San Sebastian de Coca gawędziliśmy dalej i po hulaszczej nocy, kiedy po us/y opiliśmy się rumem, stwierdziliśmy, lii1) że możemy zostać przyjaciółmi. I tak się stało. Dzięki niemu poznałem z lotu ptaka najbardziej tajemnicze i fascynujące regiony Amazonii, poznałem liczne sekrety tego zielonego świata, który on znał lepiej niż siebie samego, i kiedy po latach wróciłem tu, żeby napisać serię reportaży o bandyckiej dewastacji zielonego przestworza, nadal był tam kapitan Palacios, gotów zabrać mnie, gdzie tylko trzeba.

Ostatni raz widziałem go w El Pantanal, między Brazylią a Paragwajem, w dolnym Mato Grosso. Pożegnaliśmy się w euforii, z radością, jaką daje rum wypity z przyjacielem, a i zadowoleniem z dobrze wykonanej pracy, ponieważ udało mi się nakręcić film dokumentalny o eksterminacji *jacare\**, amazońskich kajmanów, których skóra trafia na europejskie rewie mody. Cała ekipa uczestnicząca w tym przedsięwzięciu była jednomyślna: bez udziału kapitana Palaciososa byłoby to niemożliwe. — Do zobaczenia, man. Nie muszę ci tego mówić: wróć tu. Ty też jużnosisz Amazonię w sercu i nie możesz bez niej żyć. A jeśli trzeba będzie dokopać tym skurwielom, którzy ją niszczą, to wiesz, gdzie mnie szukać. I poszukałem go. Nim usiadłem w tym barze, prosząc o butelkę rumu, który wolno sączyć, szukałem go bez wytchnienia. Nie znalazłem go. Ani jego współnika Mulata. Ktoś powiedział mi, że obaj polecili w nieznanym kierunku i już nie wrócili. Rozmówca nie pamiętał dokładnie, kiedy to było. Życie i zapomnienie następują zbyt szybko po sobie w tym zakątku świata.

Co się stało z tymi wspaniałymi poszukiwaczami przygód? Z tym, którego imienia nigdy nie poznałem? I z tym, który zawsze zwracał się do mnie „panie wan”? Co się stało z moim przyjacielem kapitanem Palaciosem?

## CZEŚĆ KOŃCOWA

Zapiski z przyjazdu

Ktoś poklepał mnie po ramieniu.

— Proszę się obudzić. Dojechalismy do Martos.

Z trudem rozpoznałem kierowcę i oswoiłem się z myślą, że jestem w autobusie. Niecałą godzinę wcześniej wsiadłem do tego autobusu w Jaen i gdy tylko złożyłem głowę na oparciu fotela, zasnąłem jak kamień.

— Martos?

— Tak, człowieku, Martos.

Kiedy wysiadłem, poczułem, że południowe słońce pali jak ogień. Na niebie nie było jednej chmurki, najmniejszego powiewu wiatru. Ulice lśniły niepokalaną bielą domów, ozdobionych zielonymi żaluzjami, a wszędzie dokoła wisiały doniczki z kwiatami, które najbardziej lubię: skromnym i odpornym geranium.

Ulice były puste, co było oczywiste dla mnie o tej porze dnia, latem. W jakimś domu grało radio. Włócząc się bez celu wzdłuż białych ścian, dotarłem do fontanny. Z otworu wydobywała się cienka strużka, która uparcie bombardowała gładką powierzchnię wody. Zaczepiłem w dłonie zimnej wody o orzeźwiającym mineralnym smaku, płynącej gdzieś z gór, by dać wytchnienie spragnionym, nim dotrze do korzeni oliwek, rosnących na zboczu.

Pijąc, zobaczyłem coś obcego i zarazem swojskiego w twarzy odbitej w wodzie. Zbliżyłem twarz do przezroczystej tafli i moje oblicze z wolna przybrało rysy twarzy dziadka.

— Przyjechałem, dziadziusiu. Jestem w Martos.

Stary spojrzał na mnie swoimi filuternymi oczkami i wypowiedział jedno z tych swoich niepodważalnych zdań: Nie trzeba się wstydzić szczęścia.

11 \

Ł

Wtedy poczułem, że znużony podróżą zaczynam drzeć, a moje oczy przysłania mgła. Zanurzyłem twarz w wodzie i natychmiast ruszyłem dalej.

Dotarłem do niewielkiego placyku, gdzie był bar. Wszedłem. Pięciu czy sześciu mężczyzn, z łokciami opartymi o kontuar, przypatrywało mi się przez chwilę, po czym wrócili do ożywionej rozmowy.

— Co podać? — zapytał barman.

— Nie wiem. Co się pije w Martos o tej porze?

— Wino, piwo... rzecz gustu...

— Nalej mu tego wytrawnego, Manolo — powiedział jeden z obecnych.

Barman podał mi kieliszek, spróbowałem. W winie było to samo słońce, które świeciło na zewnątrz. Opróżniłem kieliszek z dużą przyjemnością.

— Dobrze, co? — zapytał barman.

— Bardzo dobre.

Chciałem porozmawiać z tymi ludźmi, powiedzieć im, że przyjechałem z bardzo daleka, w poszukiwaniu śladu, cienia, ulotnej pozostałości po mych andaluzyjskich korzeniach, ale zarazem chciałem słuchać ich, chłonąć ten szorstki, urywany akcent, pozbawiony śpiewnego tonu Andaluzyjczyków z wybrzeża.

Weszło, rozmawiając, dwóch nowych klientów. Poprosili o dwa kieliszki czerwonego wina. Jeden z nich uniósł w milczeniu kieliszek tak wymownym gestem, że nie trzeba było słów. Drugi, rozmowniejszy, odpowiedział krótko:

— Na zdrowie.

Wypili z sakramentalną gestykulacją. Potem ten, który przemówił, odstawiając kieliszek na kontuar, podniósł do ust grzbiet dłoni. Świat był spokojny, życie było pełną harmonią, więc można było sobie pogadać:

— Mówiłem ci, że te pomidory to może być niezły interes. Jasne, jeśli się potrafi dobrze to poprowadzić.

— A ten idiota, że mam reumatyzm. Ja i reumatyzm. Też coś.

— Holendrzy zarabiają krocie na pomidorach. Powiedz ty mi, skąd biorą słońce ci Holendrzy?

i i

— Że mam brać kąpiele. Mam to gdzieś. Ci lekarze z kasy chorych myślą, że jesteśmy jakimiś paniskami, czy co? Taka ich mać!

— Dobry pomidor nie wyrośnie w klatce. Widziałeś te pomidory w Torredonjimeno? Słońce i woda doliny, tego im trzeba.

— Ja tam mówię, że jak się przyłoży dobry plaster, to kość przestaje rwać i jak ręką odjął. Szlag by to trafił! Zrobiło się późno.

— Na razie, Pepe. Idę jeść. Pozdrów swoich; pewnie się niedługo znów spotkamy, to sobie pogadamy. No to trzymaj się.

— Człowieku, wiesz, jak to jest.

— I mnie to mówisz, Pepe?

Ten, który — jak się wydaje — nie miał reumatyzmu, wyszedł z baru i nagle przypomniałem sobie jedno ze wspomnień dziadka.

— Czy jest w Martos bar, który nazywa się Pod Myśliwymi?

— Z tego, co wiem, to nie ma — powiedział barman.

— Jakże nie? — wtrącił się plantator pomidorów.

— Zaraz. Jest Miguel, Zamkowy, Pod Skałą...

— Chwileczkę, Manolo. Jak się dawniej nazywał ten bar?

— Różnie się nazywał. Niech pomyślę.

— O kurna, przecież aż do pięćdziesiątego nazywał się Pod Myśliwymi. Nic nie pamiętasz.

— Urodziłem się w pięćdziesiątym drugim. Jak mam pamiętać?

— Ma rację. Nazywał się Bar pod Myśliwymi i przy drzwiach miał dwa

wieszaki. Na jednym wieszano się kapoty, na drugim strzelby. Tak mi się zdaje — dodał jeden z mężczyzn.

A więc możliwe, że byłem w tym samym miejscu, gdzie mój dziadek zalewał się winem.

Gdy tylko wyjaśniła się sprawa nazwy baru, wszyscy obecni popatrzyli na mnie z nieskrywanym zaciekawieniem. Opowiedziałem im, dlaczego tu przyjechałem. Opowiedziałem im o dziadku i o mojej długiej podróży do Martos. W trakcie opowieści niektórzy z obecnych zaczęli dzwonić do swoich domów, że nie będą na obiedzie, drudzy wykorzystali jako

I

posłańców kilku chłopców, którzy przyszli do baru na lody. Barman, żeby niczego nie uronić z mojej opowieści, postawił na kontuarze butelki ze wszystkim, co się zwykle zamawia. Kiedy skończyłem, spojrzeli po sobie. — Ale historia, Chilijczyku. Ale historia. Jest tu jeden, który nazywa się tak jak ty. Mieszka niedaleko. Taki starowina i chyba ma na imię Angel — poinformował ten od pomidorów.

— Zgadza się. Nazywa się Angel i mieszka z żoną. Ale on, zdaje się, nie jest z Martos. Pochodzi chyba z Sewilli — powiedział ktoś inny.

— Człowieku, don Angel mieszka tu, odkąd robię użytek z mojej łepetyny

— oświadczył ten od pomidorów.

— Wiesz, kiedy urodził się twój dziadek?

— Tak, znam datę.

— Trzeba zapytać księdza. On zna życie w Martos najlepiej ze wszystkich.

— Pewnie, skoro wtrąca się do wszystkiego.

— Taki ma zawód. Cukiernik do słodczy, a ksiądz do plotek z babami.

— Ale o tej porze je obiad i nie wpuściłby nawet Chrystusa.

— Zaczekamy. Manolo, daj jakieś zakąski.

Do czwartej po południu spałaszowaliśmy poć szynki i zjedliśmy ostatnią tortillę. Inni mężczyźni przyłączyli się do obecnych, informowani na bieżąco przez tych, co znali już moją opowieść.

Pod komendą tego od pomidorów udaliśmy się do księdza. Przed wyjściem chciałem zapłacić barmanowi.

— Jaki rachunek? Twoja historia była ciekawsza od telewizji. Czekaście, ja też idę do księdza — zadeklarował się barman.

Ksiądz miał co najmniej siódmy krzyżyk, nie licząc tych na sutannie. Z wyraźnym niepokojem wyszedł na spotkanie grupy, która zakłóciła spokój jego świątyni.

— Coś tu zgubiliście?

— W porządku, proszę księdza; przychodzimy w dobrej intencji.

— Pytam, bo nigdy was nie widzę na mszy.

Ten od pomidorów, zaakceptowany jako rzecznik grupy, powtórzył księdzu moją opowieść i powody naszej wizyty. Zostaliśmy zaproszeni do sali o wysokim stropie i ścianach wypełnionych starymi księgami. Ksiądz szybko odnalazł datę chrztu mojego dziadka.

— Podejdz — powiedział do mnie ksiądz.

Przez tę księgę przetoczyło się więcej niż jedno stulecie. Figurowało tu nazwisko mego dziadka i nazwiska moich pradziadków. Gerardo del Carmen, syn Carlosa Ismaela i Virginii del Pilar. Ten dokument był świadectwem pierwszego oficjalnego zapisu na temat człowieka, do którego doskonale pasowały wersy Cesara Vallejo — „urodził się bardzo małej, spoglądając w niebo, potem urósł, stał się czerwony, walczył z własnym ciałem, głodem, słabościami, swoimi nie, swoimi jeszcze...” — i



który w swym życiu poznał więzienie, prześladowania i wygnanie z powodu przekonań wolnomyśliciela.

— Tamci mają rację. Idź tą ulicą, która nazywa się Najświętszej Panny, aż do numeru dwunastego. Tam mieszka Angel, młodszy brat twojego dziadka, jedyny żyjący z pięciu braci. Musisz krzyczeć do niego, bo jest głuchy jak pień. Niech Bóg cię błogosławi, że go odnalazłeś. To cud— mówił ksiądz, odprowadzając mnie do drzwi.

Gdy wyszedłem z kościoła, wieść o cudzie już się rozniosła. Na mój widok niektóre staruszki zęgały się znakiem krzyża. Otoczony licznym orszakiem, dotarłem na ulicę Najświętszej Panny i zatrzymałem się przed wskazanym domem.

Dom, jak wszystkie inne, był biały i miał drewniane, pomalowane na zielono drzwi. Nie odważyłem się zapukać, a żadna z towarzyszących mi osób nie przejawiała inicjatywy w tym względzie. Wszyscy stali w milczeniu. Patrząc na te twarze, ogorzałe od słońca, zdawało mi się, choć sam nie wiedziałem dlaczego, że cała ta scena ma coś z tragedii.

W kilka lat później, gdy wiedziałem już o Martos to, co powinienem wiedzieć, zrozumiałem, iż w tym regionie — najuboższym w całej Andaluzji, choć niebiednym — mężczyźni prędzej czy później decydowali się na podróż na wybrzeże i nigdy już nie powracali. A jeśli ktoś wrócił, to tylko dlatego, że mu się nie powiodło.

W.

117

— No, co z wami, plotkarze? Nie macie nic do roboty? — zapytał ten od pomidorów i tłum zaczął się z wolna rozchodzić.

— No, dalej, zajmijcie się swoimi sprawami, bo tutaj słońce jeszcze

bardziej wysuszy wam mózg — powiedział inny.

— Zajrzysz potem do baru, dobra? — pożegnał mnie barman.

Zostawili mnie samego przed drzwiami. Nim zapukałem, pogładziłem dłonią szorstką powierzchnię drewna. Było gorące. Ciemna zieleń farby chłonęła żar słońca. Trzymałem tak dłoń w nadziei, że owa energia wypełni moje ciało i da mi dość odwagi, żeby zastukać. Ale nie musiałem tego robić, bo nagle drzwi ustąpiły same pod ciężarem mojej dłoni.

Pchnąłem je i wtedy zobaczyłem starca.

Spał głęboko, wyciągnięty na plażowym krześle, w cieniu drzewka cytrusowego. Drzwi wychodziły wprost na wyłożone płytkami patio. W głębi widać było dom, nieskazitelnie biały, a wszędzie dokoła wisiały doniczki z geranium. Obok krzesła stał stolik, na nim szklanka wody i kilka kostek cukru. Poszukałem na płytkach świadectwa mego dzieciństwa i znalazłem je w postaci dwóch czy trzech rozplaszczonych, wysuszonych na słońcu much.

Mój dziadek oddawał się tej samej zabawie: wkładał cukier do ust, popijał wodą i wypluwał tę mieszaninę. Unosił nogę tuż nad słodką pułapką i czekał na muchy. Potem, płask!

— Ach, Gerardo! Jak możesz być tak złośliwy? — strofowała go babka.

— Robię przysługę ludzkości. To robactwo w drodze ewolucji może przeobrazić się w księży lub wojskowych — odpowiadał dziadek.

Przykucnąłem przy staruszkę, bacząc, by nie zakłócić jego spokojnej drzemki. Spał, z głową lekko przechyloną na ramię. Od czasu do czasu poruszał ustami i brwiami. Jakie obrazy zaludniały jego sny? Być może pojawia się w nich jego brat Gerardo, wtedy jeszcze mały chłopiec, gdy zbiera oliwki albo gdy razem zbiegają z boczem góry w stronę Jaen, idąc

na jakąś niedzielną corridę, albo gdy wychylają się nad przepaścią ze skały nad Martos, z której niegdyś zrzucano skazańców.

Iii

Twarz, pokryta niezliczonymi zmarszczkami i okolona rzadką białą bródką, była czerstwa i zdrowa. Był szczupły, a wielkie ręce i grube palce zdradzały wieśniaka. Miał długie nogi, jak dziadek. Dobre nogi do wędrowania.

Nagle otworzył oczy. Zobaczyłem swe odbicie w szarych, mądrych oczach. Porządkował moją twarz w swych wspomnieniach.

— Ty jesteś Paquito, syn mleczarki?

— Nie, nie jestem Paquito.

— Nie słyszę cię, synu, co powiedziałeś?

— Nie, don Angel, nie jestem Paquito — odpowiedziałem głośniejszym głosem.

— Więc jesteś Miguelillo. Już dawno powinieneś przyjść, dziecko.

— Don Angel, pamięta pan swojego brata Gerarda?

A wtedy wzrok tego starego człowieka przeniknął moją skórę, przemierzył wszystkie moje kości, wyszedł za bramę, na ulicę, wspiął się i zszedł ze wzgórz, spenetrował każde drzewo, każdą kroplę oliwy, każdy cień wina, każdy wymazany ślad, każdą grupkę śpiewającą serenady, każdego byka poświęconego w zgubnej godzinie, każdy zachód słońca, każdy oddział Guardia Civil, który zuchwale wkroczył na jego ziemię, każdą wiadomość nadesłaną z tak daleka, każdy list, który przestał przychodzić, bo takie jest życie, do jasnej cholery, każdą przedłużającą się ciszę, która z czasem utrwalała niezmierny dystans.

— Gerardo... ten, którego nazywali Wężem?

Mój płochliwy dziadek. Lękliwy i tropiony. Zmieniał skórę i nazwiska,

aby ocalić tę samą buntowniczą miłość.

— Tak, don Angel. Tak go nazywali.

— Mój brat... Ten, co pojechał do Ameryki?

Tak. Ten, co pojechał do Ameryki. Jeden z wielu, którzy z nadzieją wsiedli na statek. Hiszpanie, którzy w cztery wieki po inwazji na Amerykę wyjechali w poszukiwaniu pokoju i zostali gościnnie przyjęci, i znaleźli drewno do budowy swoich domów, szlachetny wosk pracowitych pszczół do polerowania swoich stołów, wytrawne wino do snucia nowych marzeń i ziemię, która powiedziała im: nas/c miejsce jest tam, gdzie nam dobrze.

IS

Mój dziadek. Ten, co pojechał do Ameryki. Ten, co przemierzył morze i na drugim brzegu znalazł wdzięcznych słuchaczy: „Umowa społeczna jest nikczemnością wrogów ludzkości. Natura skłania nas do rozwiązywania naszych kłopotów na drodze szczerzej rozmowy. Nie można reglamentować tego, co już ograniczyło samo życie”, mawiał dziadek, kiedy byłem dzieckiem i towarzyszyłem mu w spotkaniach w klubie robotniczym.

— Tak, don Angel. Ten, co pojechał do Ameryki.

— Ty jesteś moim bratem?

Gdzieś, w głębi, mój dziadek nalegał, bym odpowiedział: „Tak, powiedz mu, że tak, i obejmij go. My, wszyscy ludzie, jesteśmy braćmi, a starcza bezradność ujawnia odwieczne i kruche prawdy”.

— Nie, don Angel. Pański brat Gerardo był moim dziadkiem.

Twarz starego człowieka spoważniała. Ułożył się wygodnie na krześle, położył krzepkie dłonie na kolanach i przyjrzał mi się od stóp do głów, od ramienia do ramienia. Poprosi mnie o jakiś dokument? A może każe mi otworzyć pierś i pokazać serce?

— Maria! — zawołał.

Z domu wyszła kobieta, odziana w żałobną czerń, a jej srebrzyste włosy zebrane były w kok. Spojrzała na mnie przyjaźnie. Don Angel odchrząknął i wygłosił najpiękniejszy wiersz, którym nagrodziło mnie życie, i wiedziałem, że w końcu zamknął się krąg, znalazłem się bowiem w miejscu, skąd mój dziadek rozpoczął swoją podróż. Don Angel powiedział:

— Kobieto, przynieś wino. Przyjechał krewniak z Ameryki.

Spis treści

Zapiski o tych zapiskach.....7

CZEŚĆ PIERWSZA

Zapiski z podróży donikąd.....13

CZEŚĆ DRUGA

Zapiski z podróży w tamtą stronę.....29

CZEŚĆ TRZECIA

Zapiski z podróży powrotnej.....59

CZEŚĆ KOŃCOWA

Zapiski z przyjazdu..... 111

i

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc dotychczas ukazały się następujące książki Luisa Sepulvedy:

HISTORIA O MEWIE I KOCIE, KTÓRY UCZYŁ JĄ LATAĆ

2002

DZIENNIK SENTYMENTALNEGO KILLERA. KAJMAN

2002

PODRÓŻ DO ŚWIATA NA KOŃCU ŚWIATA

2003

Wkrótce:

PRZEGAPIENIA